Nr. 5. Lwów, Niedziela dnia 18. października 1874 r. Rok I.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM I.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr., półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sgr.

LUŹNE UWAGI.

IV.

Jakich nam potrzeba książek popularno-naukowych?

Ktokolwiek zajmie się u nas wydawaniem książek popularno-naukowych, czy to oryginalnych, czy tłumaczonych z obcych języków, powinien przedewszystkiem zdać sobie sprawę, dla kogo one będą przeznaczone, a następnie powinien zastanowić się nad systemem, w jaki je ująć należy, aby odpowiadając celowi, nie leżały bez pokupu na półkach księgarskich.

Dzieł popularno-naukowych nie potrzebują u nas dwie warstwy społeczeństwa: najniższa i najwyższa. Pierwsza nie umie jeszcze czytać; druga zaś, ilekroć chce, może uczyć się i czytać we wszystkich główniejszych językach europejskich. Pozostaje zatem tylko klasa średnia, wzmagająca się szybko po miastach; klasa mająca jednostki bardzo wybitne, ale, jako całość, będąca proletarjatem umysłowym. Na tę warstwę należy zwrócić całą uwagę, ją potrzeba kształcić przy pomocy dzieł popularno-naukowych, gdyż w jej rękach spoczywa przyszłość narodu.

Klasa średnia składa się u nas tak dobrze z tych, którzy do szkół średnich zaledwie zajrzeli, jak niemniej z tych, którzy ukończywszy uniwersytet, a nie mając wrodzonego zamiłowania do nauki, zapomnieli po kilku latach wszystko, co nie jest ściśle złączone z ich zawodem, a nad czem niegdyś, z obawy przed zbliżającemi się egzaminami, bezsenne trawili noce.

Cała ta warstwa społeczeństwa nie potrzebuje elementarza naukowego, albowiem pierwsze poglądy na wiedzę, ze szkół już wyniosła — niemniej zbyteczną byłaby dla niej głęboka nauka, której zawsze i wszędzie tylko jednostki będą się szczerze oddawały; jako ogół wzięta, potrzebuje ona dobrego wykształcenia ogólnego, cywilizacji, że tak powiemy, wszechludzkiej, a tej zaczerpnąć można w pierwszej linji z tych dzieł, które w historycznych poglądach rzucają jasne światło na poszczególne gałęzie wiedzy.

Historja starożytna, średniowieczna i nowoczesna, Historja Polski, Historja literatury powszechnej, Historja literatury polskiej, Historja filozofji, Historja sztuki, Historja ekonomji politycznej, Historja cywilizacji, Historja odkryć i wynalazków, itd. itd. oto dzieła, które przystępne co do formy, dla szerszego koła czytelników dla tego są korzystne, ponieważ nie przytłaczając uwagi suchą teorją, dają jasny pogląd na wszystkie systematy poszczególnych gałęzi wiedzy ludzkiej i zapoznają nas z ostatniemi jej wynikami. Dopiero gdy szereg tych działów, które w system poglądów historycznych dadzą się ująć, zostanie wyczerpany, należy przystąpić do popularnej teorji, wysuwając znowu na pierwszy plan takie przedmioty, jak Geologję, Astronomję, Etnografję, Nauki przyrodnicze, Geografję, itd., których treść zajmująca przemawia do każdego umysłu.

Nie wątpimy, że książki jak te, którešmy powyżej wymienili, zostałyby przez ogół jak najlepiej przyjęte. Zrozumiano to oddawna, i dla tego Encyklopedje rozchodzą się każdego roku w krociach tysięcy egzemplarzy; chociaż Encyklopedje, najpierw dla ogromu swego, a następnie dla braku odpowiedniego układu, nie zapewniają systematycznego wykształcenia. Czytelnik powinien się zainteresować i być pewnym, że po przeczytaniu np. sześciu tomów, będzie miał dokładne wyobrażenie o sześciu działach wiedzy ludzkiej, i to od początku ich rozwoju, aż do dni ostatnich.

System historyczny jest zatem jedyny, który może zająć uwagę najmniej wykształconego, i którego należy trzymać się w początkach, przy wydawaniu dzieł popularno-naukowych.

Przed dziesięciu laty mieliśmy „Wydawnictwo dzieł tanich i pożytecznych,“ które w pierwszym roku nadzwyczajnem cieszyło się powodzeniem, ale wkrótce utraciło wziętość, głównie zaś dla tego, że nie miało żadnego systemu. Błąd taki nie powinien się drugi raz powtórzyć.

Aby zamierzony cel tem lepiej i łatwiej osiągnąć, należy przestrzegać, by żadne dzieło nie obejmowało więcej jak tom jeden. Tom, rozdzielony na dwa miesięczne zeszyty, będzie przystępnym dla najmniej zamożnego. Nie tylko Galicja i W. ks. Poznańskie, ale Królestwo i Ziemie zabrane dostarczą licznego zastępu czytelników, bo będzie to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo w języku polskim; a jeżeli Towarzystwo, zawiązane we Lwowie, w celu wydawania książek szkolnych i naukowych, podejmie myśl przez nas rzuconą i w czyn ją zamieni, w pierwszym zaraz roku zapewni byt sobie, a krajowi dobrze się zasłuży.

Potrzeba tylko chcieć i szczerze wziąć się do dzieła.

SERCE I REKA.

Powieść prawie historyczna

przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

W zaniedbanym stroju, blada, na przemiany gniewna, smutna, zrozpaczona, płacząca, chodziła Olimpja godzinami, aż do znużenia, lub padała nieruchoma na kanapę i milcząca jak posąg, bez ruchu, z oczyma wlepionemi bezmyślnie, siedziała nieodpowiadając na pytania, nie dając znaku życia....

Nadszedł naznaczony dzień ślubu.... Olimpja była chorą — odłożono go do następnego dnia, ale jeszcze nie czuła się na siłach.... Matka nalegała.... Wieczorem o zmroku... znalazły się sam na sam przeciw sobie, obiedwie przejęte, zmęczone i gniewne.... Radczyni postanowiła rozmówić się stanowczo. Odkładane to wesele czyniło jak najgorsze wrażenie. Zygmunt zaklinał, aby temu koniec położyć.

Matka weszła o zmroku i usiadła przy córce.... czekając zrazu, aby zawiązać rozmowę; ale kwadrans upłynął, Olimpja nie zmieniła położenia, nie odwróciła się ku niej, nie przemówiła słowa....

— Dziecko moje — odezwała się nareszcie matka... na miłość Bożą posłuchaj mnie. Kompromitujesz siebie, nas, dom, tego człowieka. Co ludzie powiedzą? co pomyślą? Zapomniane historje odświeżą się w pamięci ludzkiej... zlituj się — raz z tego położenia wyjść potrzeba.

Córka podniosła się z zaognionemi oczyma.

— A któż mnie wprowadził w to położenie? zawołała gwałtownie — dla czego chcecie koniecznie, abym szła za mąż, kiedy serca nie mam dla niego, kiedym je oddała innemu.... Kiedy przed Bogiem i sumieniem należę do innego człowieka?...

Matka klasnęła w dłonie przerażona.

— Na miłość Boga! cicho! Olimpjo... cicho!... Przecież uległaś woli ojca....

— Tak, ale niemogę wymódz na sobie, abym oszukiwała, nawet tak nikczemnego człowieka jak pan Zygmunt. Wprzódy nim mu oddam rękę, on powinien wiedzieć wszystko — tak! wszystko... powinien się dowiedzieć, że zaślubia wdowę... cudzą żonę, kochankę innego...

Radczyni rzuciła się ku córce, zatulając jej usta. Przerażało ją, co mówiła... lękała się podsłuchania, obawiała ścian.

— To szaleństwo — poczęła po cichu— dla czego masz się poniżać dobrowolnie w jego oczach, zdawać na łaskę... po co?... Zostaw mnie staranie o to....

— Ja? na łaskę — przerwała Olimpja... na jego łaskę? roześmiała się szydersko. O! nie! znam człowieka i nie myślę mu uledz. Właśnie dla tego, ażebym na łasce nie była.... powinnam mu położyć warunki. Niech wie, czego się ma po mnie spodziewać...

— Ja na to nie pozwolę — powstała Radczyni — nie! — to być nie może. Obwiniając siebie, obwinisz mnie. Ja tego nie chcę.... Po ślubie powiesz mu — że — że winien zyskać serce twoje, nim żoną jego będziesz.... Nie żyj z nim.. niech ślub będzie formą tylko... na to się zgadzam... ale takich wyznań, rozmowy... nie dopuszczę.

— To ślubu nie będzie... zawołała Olimpja chłodno.

— Zobaczymy jak się wytłumaczysz przed ojcem, któremu dałaś słowo....

Zaczęła się przechodzić po pokoju....

Olimpja swoim zwyczajem zamilkła.... Dzień ten tak przeszedł. Nazajutrz już kościół przystrajano, gdy Olimpja oświadczyła znowu, że czuje się chorą, że nie wyjdzie....

Ojciec przybiegł do niej sam... ale spojrzawszy na zmęczoną twarz dziecięcia, na wypalone łzami oczy, nalegać nie śmiał. Musiano zgromadzonych gości zbyć tem, że lekarz jeszcze dzień wstrzymać się radził, że wzruszenie było zbyt wielkie....

Ojciec Zygmunta pochmurniał, on sam, ledwie nadzwyczajnym wysiłkiem woli nadrabiając, mógł twarz spokojną i rozpromienioną w salonie ukazać. Oprócz Radzcy, który wiedział o ofierze córki, ale nie domyślał się, jak była wielką, reszta osób wchodzących do tego dramatu, kłamała twarzami, słowy, postawą... i była na mękach.

Zygmunt, który stojąc w salonie, jeszcze tak ubrany, jak się był ustroił, sądząc, że pójdzie tego dnia do ołtarza, udawał człowieka doskonale spokojnego a podrażnionego tylko chwilową słabością najdroższej istoty. Rozmawiał o rzeczach obojętnych, silił się na dowcip, ale mu źle było i czuł, że głowa go pali. W tem postrzegł w mroku matkę w całym majestacie elegancji, z jaką występowała do stołu, ale z chmurą na czole, dającą mu niespokojnie jakieś znaki, dla drugich niedostrzeżone.

Domyślił się łatwo, że mówić z nim potrzebowała, skłoniwszy więc zlekka głową na przeprosiny tym, z którymi rozmawiał, udał, że go troskliwość o zdrowie narzeczonej pędziła ku niej.

Matka nie kryła wielkiego zakłopotania się niespodzianą, przedłużoną córki chorobą, — ale baczniejsze oko mogłoby było dostrzedz w jej twarzy, której wszystkie muskuły drgały hamowanem jakiemś oburzeniem i namiętnością — coś więcej nad prosty o dziecię frasunek.

W salonie gwarno dość było i ludno. Szambelan, który prawie cały dzień monopolizował rozmowę, coraz ciekawsze rzeczy opowiadał o wspaniałości stolicy, gmachów, o zbytku i przepychu bogatych rodzin arystokratycznych i kupieckich... wszyscy zdawali się go słuchać z natężoną uwagą i wykrzyknikami sympatycznemi.... Gwar ten dostatecznie tłumaczył, że Zygmunt z matką mógł potrzebować cichszego kąta do rozmowy. — Poważnie, zwolna, powstrzymując niespokojne kroki, wprowadziła go pani Radczyni do gabinetu, gdzie parę osób zbłąkanych na ustroni, jak tylko posłyszały ją wchodzącą i straszliwie do Lady Macbeth podobną — ustąpiły, przeczuwając, że zawadzać mogą. — Obejrzała się i westchnienienie wyrwało się z jej piersi — które ręką uciskała białą, jakby je powstrzymać chciała.... Zwróciła twarz z oczyma czarnemi, łez i ognia pełnemi, ku Zygmuntowi — ten stał chłodny, przyzwoity, ostygły, ale odważny. Na nim już nie widać było pomięszania najmniejszego.

— Olimpja — jest tam — w saloniku, idź pan do niej, chce się z nim widzieć.

Słowa te wyrzekła głosem wzruszonym i przerywanym.

Zygmunt się natychmiast poruszył, Lady Macbeth go wstrzymała.

— Czekaj! rzekła jakby wahając się — głosu jej zabrakło, obejrzała się niespokojnie i dodała cicho — proszę cię — bądź rozsądnym.. Ufam twojemu charakterowi....

Ujęła go za rękę, uczuł, jak dłonie jej rozpalone drżały.

— Soyez raisonable — proszę, to dziecko — pan ją znasz! Beaucoup de calme pour conjurer la tempte.... Ja zostanę na straży, aby wam nikt nie przerwał rozmowy i podsłuchać nie mógł....

Pochwyciła się za głowę i padła na fotel... jakby ją siły opuściły....

— Niech mama będzie spokojną — uśmiechając się zimno, szklanno, odparł Zygmunt, chociaż twarz mu bladła... będę się starał odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu et etre a la hauteur des circonstances....

To mówiąc wyszedł, a oczy Lady Macbeth poszły za nim, — podparła bladą głowę na białej dłoni, zadumała się rozpaczliwie, piękna jej jeszcze twarz, w tem zapomnieniu o sobie, stała się nagle starą — zapadły usta, pofałdowały się policzki....

Zygmunt z lekka otworzył drzwi saloniku, w którym półzmrok nadchodzącego wieczoru już panował. Doskonale jeszcze można było rozeznać twarze i ich wyraz... ale jakby mgła jakaś osłaniała wszystkie przedmioty....

Na kanapie Olimpja, którą zmuszono ślubnego stroju spróbować, siedziała w białej sukni morowej, ale z rozpuszczonemi włosami, poplątanemi niedbale.... Sparta na ręku, leżała posągiem bladym, jak Cezarowa żona z marmuru w Real Museo w Neapolu.

Czarne jej oczy świeciły wśród mroku jasno, strasznym blaskiem jakimś, jak dwoje źrenic dzikiego, podrażnionego zwierza.... Była zarazem cudownie piękną i przerażającą. — Na twarzy zawsze bladej, teraz białej — dwa wypalone rumieńce ceglane, jak dwie plamy od policzków się wydawały. Miała coś w sobie męczennicy i coś zrozpaczonej poganki.... Zmarszczyła brwi, usta jej poruszyły się, zmierzyła od stóp do głowy Zygmunta i jego klasyczną toaletę weselną — coś ironicznego przebiegło po wargach....

Wskazała mu krzesło naprzeciw siebie, w drugim końcu kanapy, tak, aby nie zbyt blisko, całym go na oczach miała.

Zygmunt siadł i pochyliwszy się z wyszukaną grzecznością, już miał na ustach wypytywanie przesadnie czułe, o tak nieszczęśliwie dlań przychodzącą chorobę, gdy Olimpja zamknęła mu je, odzywając się sucho i niemal pogardliwie... z niewypowiedzianą dumą królowej, mówiącej do niewolnika.

— Proszę pana, nie grajmy z sobą komedij żadnych, mówmy szczerze, poważnie, otwarcie — jest to chwila stanowcza, ja grzeczności nie potrzebuję, bo nie wierzę w nie....

Zygmunt zamilkł, lecz niezmięszany wcale, skłonił głowę na znak posłuszeństwa.

Zmierzyła go oczami raz, drugi, lekko ruszając ramionami. Istota, co miała być jej mężem, zdawała się jej niezrozumiałą.

Olimpja wstała zbierając rozrzucone włosy i wiążąc je białemi rękami, potem milcząca zaczęła żywo, nierównemi, przerywanemi krokami chodzić po pokoju — naostatek stanęła przed nim, w całym majestacie dumy swej i piękności — mierząc go oczyma długo, nim przemówiła....

— Tak, stłumionym ozwała się głosem — potrzeba mówić otwarcie. — Starałeś się pan o mnie, muszę mu oddać tę sprawiedliwość — bardzo zręcznie, i wystarałeś się mimo mej woli, a bierzesz mnie gwałtem.

Nie inaczej — gwałtem... dodała z przyciskiem. Pan umiałeś sobie ująć matkę moją, matka potrafiła wmówić w ojca stosowność i konieczność tego związku.... Miłości dla ojca, prośbom jego uledz musiałam.... Jestem nękana, zmęczona, skuta własnem słowem — muszę iść za pana! Lecz powinieneś wiedzieć, że idę za niego z musu, bez najmniejszego przywiązania, ze wstrętem, żem go nie kochała, nie kocham i kochać nigdy nie będę....

— Pani, — przerwał Zygmunt łagodnie głosem mięciuchnym i intonacją słodką, mdłą aż do przerażenia, bo naturalną być

nie mogła — pani, gdybym jej nie kochał mógłbym się łudzić, alem kochał ją, bolałem nad tem a jednak miłość mi dała odwagę walczenia z jej wstrętem.... Pozwól mi zachować nadzieję....

— Pan mówisz jak na teatrze dobry artysta — do dziś dnia taka mowa uchodziła, należy do mise en scene zwyczajnej. — Oceniam znakomity jego talent — lecz dziś, proszę, mówmy inaczej, jak prości śmiertelnicy....

Starałeś się pan o mnie dla mojego majątku i imienia... nie dla serca....

Zygmunt trochę zmilczał, krew oblała mu twarz jakby został spoliczkowany, ale w tejże chwili wrócił do pierwszej bladości i chłodu....

— Sądzisz mnie pani za surowo, rzekł, chociaż zapierać się nie myślę, że wszystko co ją otaczało, dodawało jej uroku. Nie jest że to naturalnem?

— A! tu nie ma żadnych uroków, to jest prosty „interes" — rzekła sucho — moi rodzice osądzili go wedle siebie dobrym, — każą mi iść — idę, pan obrachowałeś co zyskujesz i ważysz się na wielkie niebezpieczeństwo... cóż mi do tego?? Nie uczynię pana szczęśliwym, i nie możesz powiedzieć, żem go zdradziła, żeś wpadł w zastawione sidła.... Z góry oznajmuję mu... że puszczasz się pan w grę niebezpieczną.... Mais c' est votre affaire....

Zygmunt zdarł jedną rękawiczkę, ale zmilczał.

— Ponieważ pan trwasz w nieuleczonym uporze — ciągnęła dalej — nie żałuję nawet pana. Mnie dziś zupełnie wszystko jedno być oddaną temu lub drugiemu. — Z każdym jednak byłabym szczerą, będę nią i z panem .. choć — choć (dodała coś prędko i niewyraźnie, jakby — choć nie zasługujesz na to.. ale Zygmunt nie dosłyszał). Zagryzła usta....

I siadła znowu na kanapie naprzeciw niego; jedną z gałązek kwiatu pomarańczowego, zdobiących suknię oberwała bez litości i poczęła się nią bawić, rozdzierając ją, kwiatkami i listkami uścielając ziemię.

— Widząc mnie taką, jaką jestem, niepodobna, ażebyś pan nie posądzał przeszłości i nieobwiniał jej o teraźniejszość, znajduję koniecznem — mówiła żywo, — abyś pan poznał tę tajemniczą przeszłość kobiety, którą masz zaślubić.

Zygmunt podniósł głowę, jakby ją prosił o litość nad nią samą, nie pomogło to nic....

— Zapewne wiesz, żem lat 29 skończyła... nie jestem dzieckiem — przeżyłam i przecierpiałam wiele. Kochałam.... Tak jest, kochałam raz w życiu i ta miłość zapełniła życie całe. Wyznanie to niczby nie znaczyło, gdyby nie było pełnem jak spowiedź, otwartem jak ona.... Gorycz muszę wypić do dna... nadtom dumna, bym milczeniem kłamała.... Nie jesteś pan sentymentalnym i wrażliwym, ale przypuszczam, żeś uczciwym.

Wychowywałam się przy matce mojej za granicą, miałam lat ośmnaście, serce dziecka... wiarę dziecka, nieświadomość świata dziecinną. — Uczyłam się muzyki, którą namiętnie lubiłam, a której — jak pan wiesz, teraz nie znoszę.... Nauczycielem ostatnim był młody człowiek — człowiek jenjalny, człowiek godzien tego imienia, szlachetny, pełen prawdziwej poezji w duszy... piękny jak anioł, biedny jak wyrobnik, zacny, jak bohater....

Kochaliśmy się — rajskie to były chwile! z nim raz w życiu sięgnęłam niebios, ażeby upaść do piekła. — Chciałam mu się poświęcić, narzuciłam mu się gwałtem, zmusiłam go, żeby mnie uwiózł.... Długo nie mieliśmy żyć z czego — postanowiliśmy być szczęśliwi choć dni kilka i umrzeć razem. Uciekłam z nim od matki, w głąb' jego kraju, do ubogiej chaty w wiosce, w której się urodził....

Tu głosu jej zabrakło.

— O! te dni, te dni szczęścia, dodała po chwili, te godziny rajskie — nigdy nie zapomniane, niepowrotne nigdy. Spędziliśmy je, sypiąc garściami tę troszkę złota, którą zabrałam matce, jako mój posag jedyny... kupiliśmy duże piękne trumny, wysłane kwiatami, które stały w drugim pokoju... i tak żyliśmy między niebem a śmiercią... i byliśmy bardzo — bardzo szczęśliwi....

Głos jej coraz się cichszym stawał, łzy zaczęły płynąć po twarzy — Zygmunt siedział zgięty, ze spuszczoną głową, patrząc na rękawiczki poszarpane... jak gdyby wzięto go na męki, które męstwo kazało, nie jęknąwszy, przecierpieć.

— O te dni nie zapomniane — powtarzała Olimpja, jakby sama do siebie — te dni tkane ze złotych słońca promieni, pośród kwiatów, muzyki, w cichym kątku, gdzieśmy sądzili, że dopiero dwa nasze trupy ktoś odszuka, gdy upojeni sobą, wypijemy przygotowaną truciznę.... Odkładaliśmy ją od dnia do dnia — byliśmy tak szczęśliwi!! Potrzebujęż panu powiedzieć, żem była jego kochanką, żoną, niewolnicą?

Na tych wyrazach przerwała, zasłoniła sobie oczy, czekała odpowiedzi.

Była chwila milczenia grobowego... nareszcie Zygmunt odezwał się głosem zmienionym, schrypłym, jakby go dusiła żółć wzbrana.

— O tem wszystkiem niepotrzebowałaś mi pani mówić — wiedziałem....

Olimpja zerwała się z kanapy.

— Od kogo? od matki?

— Nie.

— I pomimo to zaślubić mnie się ważysz?

— Przeszłość pani nie należy do mnie — odpowiedział Zygmunt z powagą — ja poślubiam tylko przyszłość.

Gorzko, pogardliwie, uśmiechnęła się panna młoda, ruszając ramionami.

— Fraza! — zawołała szydersko, — ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość moja do pana nie będzie należeć, tylko pozornie... tylko z imienia....Pan mi powiadasz żeś o tem wiedział i nie — od matki?? Więc moja historja jest tak powszechnie światu znana, i pan nie wahasz się mnie wziąć, osławioną??

— O tem nikt nie wie w świecie, a mnie odkrył tę wiadomość — wypadek...

— Kłamiesz pan... przerwała Olimpja, troskliwa, dobra, ostrożna matka moja przez miłość dla mnie — i dla zięcia przyszłego, musiała mu to wyznać... nie prawdaż?

Zygmunt zamilkł.

— A więc — gorączkowo poczęła Olimpja, ze świadomością sytucji przystępowałeś pan do tego związku... namyślałeś się dobrze — wiesz kogo bierzesz?

— Mnie się wszakże zdaje, że się łudzisz biorąc mnie za pospolitą istotę, która ci będzie wdzięczną i okupi błąd poddaniem się. To fałszywa rachuba. Kobieta w położeniu mojem, z mojem sercem, z uczuciem, z dumą, nie może być żoną drugiego, tylko — z nazwiska.

— Będziesz pani swej woli panią... ale przyszłość.

— Rachujesz pan na swe powaby, na słabość niewieścią, na seduktorstwo!!.

Ruszyła ramionami i usta jej zadrgały. — Ale pan mi jesteś — wstrętnym, nie mam dlań nawet... szacunku.

— Starać się go będę pozyskać.

— Znowu ładna fraza, vous en avez pleines les poches — mówiła Olimpja. Muszę jeszcze dodać i to, że prawdopodobnie kochanek mój żyć musi...

Matka nie dała się nam otruć obojgu razem, a ja przy rozstaniu wymogłam, że sobie życia nie odbierze. Schwytano nas z pomocą policji saskiej w parę tygodni... Biedny mój anioł, poszedł pewnie dźwigać kajdany, gdy ja w złotych bransoletach musiałam grać rolę dziewicy dla ocalenia honoru domu!

Po dwóch latach podróży wróciłam do kraju jako panna na wydaniu... Jeśli ten człowiek żyje — jeśli go spotkam, choćby galernikiem, nędzarzem... pójdę za nim, przysięgam!! (C. d. n.)

OBRAZY Z ANGLJI.

Przez

Sewera...

II.

(Ciąg dalszy.)

— Po kazaniu odczytaj pan to, rzekła gospodyni, wręczywszy mi karteczkę; — właśnie jest to przezemnie wybrany wyjątek z Biblji. Na drugiej stronie znajdziesz psalm, który odśpiewamy.

Tymczasem brat, dżentelmen, na ulubiony sposób prezbiterjański, nie przestawał malować Boga najczarniejszemi barwy, porównywając jego złość i zemstę do wszystkich ostrych ingrediencyj, jakie posiada w swoim sklepie, rozumie się w najlepszym gatunku.

Szlachetna duma siostry wzmocniona dobrym objadem i butelką pel-el, a podsycana wymową kaznodziejską, rosła z każdym wykrzyknikiem brata. Na przytoczenia ze Starego Testamentu, potrząsała potakująco głową, przykładając palec do czoła. Obecnych mogło być około dwadzieścia osób, różnego wieku i stanu. Wszyscy słuchali poważnie i z godnością bretońską, oprócz kilku dżentelmenów w letnich kapeluszach, białych kamizelkach, w jasnych krawatach i równie nieprzyzwoicie popielatych pantaljonach.

Mowca odczuł w nich anglikanów, a co stokroć gorzej, posądzał o katolicyzm. Nie przebaczył im przeto złośliwego uśmiechu, gdyż wyciągając rękę w stronę, gdzie stali, zawołał:

— „A gdy zobaczycie piekielny uśmiech na twarzach faryzeuszów pstrokato przybranych

w dzień świąteczny, odwróćcie się od niego, bo to uśmiech djabła, który się kocha w katolickich sutannach i jaskrawej bezwstydności.“

Po tych słowach, kaznodzieja zrobił półobrotu od stanowiska pstrokatych faryzeuszów; w tłumie powstał szmer i śmiechy; dżentelmen obcierał wraz z dumą pot z swego czoła, a pycha jego siostry doszła do zenitu!....

Upokorzeni pstrokaci faryzeusze, odszedłszy na drugi róg ulicy, naradzali się i śmiali, pewno ze swego wstydu, jak utrzymywała siostra, tchnąc nienawiścią i zemstą ku odpędzonemu belzebubowi.

Dżentelmen powtórnie odkrząknął mocno, zamrużył oczy, a otworzywszy je nagle, zaczął: „Mądry król Salomon słusznie powiedział, że wszystko jest próżnością“... Lecz zaledwo harmonja wymowy jego zaczęła rozbrzmiewać, jakaś świecka melodja mąci ją swym szmerem. Dżentelmen stara się stłumić te podszepty mściwego djabła, podnosi głos, lecz w miarę jego wzrostu, melodja zaczyna być wyraźniejszą. Najprzód odwracają głowy płoche miss, czyli kuszone przez djabłów Ewy, a za niemi wielu z młodych Adamów. Marsz konspiratorów z „*Mademoiselle Angot*“ z początku cichy, podnosi się, potęguje, śpiewany przez pstrokatych potępieńców.

Dżentelmen z oburzenia zatrzymał się, pewno aby dobrać odpowiednich słów do straszliwego przekleństwa. Korzystając z tego czasu, melodja zapanowała; missy pierwsze zdradzają, uciekając z obozu, za niemi młodzi dżentelmeni; później odchodzą ciekawi, a za tymi jak zawsze tłum.

Kaznodzieja został sam z siostrą, i towarzyszami; patrzy smutnie przed siebie i z godnością milczy.

— Co robić z przeklętymi? pyta jeden z przyjaciół.

— Pójść i rozpędzić przebojem, a Bóg, jak napisano, zeszle nam w pomoc kamienny deszcz, który spadając na przeklęte karki, wytępi filistynów! — zawołała rozgorączkowana misses.

— Bądź spokojna siostro, to nie nastąpi,— odrzekł z powagą kaznodzieja — męczennik.

Istotnie wszelki opór stał się niemożliwym; liczny sukurs wzmacnia nieustannie zastępy śpiewających konspiratorów; laski ich uderzają w takt o kamienie chodnika, śpiew jak wzburzona fala rozbiega się po całej ulicy i skwerze, ściągając ku sobie, jakby do pożaru, już całym pędem biegnących amatorów zbiegowisk. Nareszcie tłum rusza z miejsca i przechodzi majestatycznie obok kaznodziei i jego siostry, ścierając samem zuchwalstwem ich pychę.

Wszystko jest próżnością... I te usta, które niedługo miały chwalić Pana XXV psalmem Dawida, śpiewały ohydne piosnki, na nutę bezbożnych frenczmenów (francuzów). A gdzież policja i jak mogła pozwolić na zgwałcenie Sabatu krzykiem ulicznym? Czyż nie mają całego tygodnia na dogadzanie swym chuciom i rozpasanej wolności? Szósta już minęła, otworzono szynki, wolność wróciła!...

Dżentelmen odebrał kapelusz z rąk siostry, wdział go na głowę, towarzysze uczynili to samo, rozdano kartki drukowanego psalmu maroderom i przechodniom i jak rozpoczęto tak skończono śpiew, w dwanaście głosów.

Przedstawiony w tak smutnej chwili panu Snape, nie śmiałem wyrazić ani zachwytu nad wymową jego, ani uznania, co do trafnego doboru tekstu z Biblji. Towarzystwo widocznie upadło na duchu, pod brzemieniem przegranej i leniwie stawiając kroki, podążało za swym przewodnikiem i jego siostrą.

Na początku podróży, zastąpił drogę panu Snapę młody człowiek, cały czarno ubrany i zatrzymawszy go, zaczął z nim rozmowę. Pan Snape, przywołał nas do uczestnictwa w naradzie. Nieznajomy, oburzony zuchwalstwem pstrokatych faryzeuszów, proponował zemstę, podejmując się za pięć funtów zrobić rysunek, wystawiający pośmiewisko i hańbę śpiewaków. Całe przedsiębiorstwo miało kosztować 20 funtów (500 franków), rysunek odbić się ma dziesięciu tysiącach egzemplarzy, które jutro wieczór mogą być przedawane po ulicach, pena za sztukę, właśnie w chwili wyścia dzienników, opisujących dzisiejszy wypadek.

Propozycja ta łechtała dumę pana Snape i siostry, tem więcej, że zysk w razie powodzenia, powinien przynieść parę tysięcy franków. Projekt kompozycji był oryginalny i szczęśliwie pomyślany. Obraz miał przedstawiać w głównym rysunku ohydne naigrawanie się z religji. Na pierwszym planie artysta przyrzekał umieścić p. Snape, portretowanego wraz z siostrą, trzymającą kapelusz brata; miny ich, jak również i otoczenia, będą wyrażać pogardę, dla partji stojącej po drugiej stronie ulicy, skarykaturowanej bezecnemi podrygami i krzykiem. W około głównego rysunku staną mniejsze obrazki, przedstawiające karę zesłaną tej nocy, za zuchwałe wystąpienie przeciw p. Snape. Pierwszy obrazek miał uprzytomnić, jak jeden z pstrokatych faryzeuszów, męczony straszliwemi snami, wyskakuje z okna drugiego piętra, co w następstwie każe się domyślać, że sobie zdruzgoce czaszkę. Drugi, pokaże zdumionym przebudzonego potępieńca, ze spuchniętym gardłem, jak bania; na trzecim, oniemiałego dzisiejszego krzykacza... Cały układ genjalnością swoją i żywą akcją zjednał sobie uznanie. Polecono młodemu człowiekowi nazajutrz rano przedstawić rysunek skończony, w celu ułożenia warunków.

Towarzystwo ożywione nadzieją zemsty, raźniej postępowało, zbliżając się ku mieszkaniu pana Snape, w którem czekała przygotowana wieczerza. Zaledwo jednak parę kroków zrobiono, nowy interesant zatrzymał p. Snape. Okazałej postawy, okrągłych form, krótkiej szyi, spłaszczonej głowy jegomość, oburzony na heretyków, zaproponował przystąpienie do towarzystwa, chcąc swoje wejście zamanifestować wydrukowaniem modlitwy, szczególnej treści wraz z tekstem Biblji, w 25 tysiącach egzemplarzy.

Pan Snape z rozrzewnieniem wręczył swój adres proponującemu, zapraszając go na przyszłą sesję.

Już nam nic nie przeszkodziło dostać się na Portland-stajszen, kupić bilety, zejść na dół do tunelu i w trzy minuty dojechać do Kings-Kross; zkąd do mieszkania pana Snape i wieczerzy, mieliśmy zaledwo dwieście kroków.

Przed drzwiami domu szanowny pan Snape poważnie zanurzał rękę do kieszeni, wyjął klucz, otworzył nim drzwi sklepu, wszedł, zapalił gaz, a oświecając drogę, poprosił swych gości. Podałem rękę siostrze pana Snape, przeprowadzając ją przez ciasną furtkę, wyciętą w zatarasowaniu niedzielnem drzwi i okien. Sklep przedstawił się wspaniale i okazało. Na dole beczułki z oliwą, dalej wielkie kręgi sera, obok masło, tuż przy nich słonina, a na górze w blaszanych skrzyniach, owa musztarda, żółta jak złoto, na której to proszek mają być zmieleni niewierni. W rozlicznych grupach pikłosy, nalane octem siedmiu złodziei, ustawione po rogach, stroiły wnętrze.

Rozglądałem się z uszanowaniem po tych dowodach zamożności p. Snape. Gospodarz postrzegł moje podziwienie i z uśmiechem protekcji a wdzięczności zbliżył się do mnie.

— Eh! ser, to bagatelka, szepnął mi, w porównaniu z tem co jest w piwnicach i na składach koło doków. Robią się małe wysyłki na kuntry, (na prowincję) a przedewszystkiem do Manszester, gdzie, pod dyrekcją syna, mam trzy sklepy.

Wzruszony poważnem stanowiskiem pana Snape poszedłem na górę. Na pierwszem piętrze zastaliśmy nakryty stół, zastawiony do wieczerzy, a za stołem, obok kominka, stojącą pannę Elżbietę, zdrobniale miss Lili Snape. Czarna suknia zapięta pod szyję, obszyta białą kryzą à la Marja Stuart, spiętą emaliowaną broszką, z po za której wychyla się blado-różowego koloru szyjka, wygięta, nazwana łabędzią, okrągła bródka, rumiane, mocno wycięte usta z zabłąkanym smutnym uśmiechem, figlarny nosek, ciemne oczy, wąska brew, myślące czoło i ciemnych włosów warkocze,—oto panna Lili, którą całuje głośno stryjenka.

— Okropność, Lili, okropność! mówiła szybko zdejmując kapelusz, gdybyś widziała jak twój ojciec upokarzał faryzeuszów! a oni, z podszeptów djabła, jak się mścili, a jak ich Bóg ukarze, zobaczysz jutro, na rysunku...

Korzystając z czasu patrzałem na spokojną twarz, melancholijny uśmiech i otwarte czoło sympatycznej siostrzenicy, przed którą na stoliczku leżała otwarta książka. Miss była nieco roztargniona; czyby ją miały nużyć sprawy kościelne, czy może ambarasować moja obecność?.. Stryjenka nie pozwala na zbyt długie z mej strony obserwacje; przedstawiając mnie Lili, nagłym zwrotem zapytuje:

— Powiedz, ser, jakie na tobie wrażenie zrobił spokój wymowy mego brata, mimo piorunujących słów?

— Ser cudzoziemiec, odpowiada słodko Lili, podając mi na przywitanie rękę, nie miał czasu poznać charakteru i odcieni naszej wymowy; zresztą na kontynencie nie brakło mu sposobności słyszenia pierwszorzędnych mówców, zatem mój biedny ojciec pewno nie zwrócił jego uwagi.

Stryjeneczka już była na dole, aby pospolitej kobiecie, którą los dał jej za bratowę, pomódz do przyrządzenia wieczerzy.

— Dla czego pani swego ojca nazywa biednym, gdy przeciwnie miał on chwile, w których czuł się szczęśliwym, a te są tak rzadkie w życiu.

— Gdybyś ser znał wszystkie przejścia od czasu, jak ojciec zdecydował się kupić, lub wynająć kościół dla ugruntowania i oczyszczenia prezbiterjanizmu, gdybyś wiedział wiele znosimy od tej chwili trosk i kłopotów, żałowałbyś nas, a przedewszystkiem mnie, zmuszoną mimowolnie uczestniczyć w tych zabiegach.

— Zdecydował się wynająć kościół? powtarzam zdumiony.

— Jees ser, odpowiada spokojnie miss, nie domyślając się mego zdumienia; od chwili jak na Kensigton ogłoszą sprzedaż lub wynajęcie kościoła, ojciec mój zwyczajne godziny dnia poświęca swym interesom, a zbywający czas i niedziele oddaje zabiegom około opanowania świątyni. Widzisz więc pan, że mu nic nie zostaje dla rodziny. Przytem jako głowa nowej reformacji, w wzmocnionym cieniu purytańskim, nie może odwie-

dzić ani teatru, ani koncertu, żadnej zabawy, żadnej użyć rozrywki. Czyż się mylę, mówiąc, że jestem biedną córką biednego ojca?

— Gdy atoli nadzieje pana Snape urzeczywistnią się po wynajęciu, lub kupieniu kościoła, nie ulega wątpliwości, że po zrobieniu ofiary Bogu, odpocznie.

— Przeciwnie, panie, odpowiada tym razem zdziwiona miss, w wynajętym kościele ojciec mój zostanie pierwszym dygnitarzem, aby co niedzielę miewać kazania przed południem i po objedzie, i dla tego przez cały tydzień nie odpocznie, będąc zajęty przygotowaniem się do nich, administracją kościoła, interesami wiernych, szkołą, propagandą, a może wynajmowaniem i stawianiem nowych kościołów.... (C. d. n.)

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

ZA DNI NASZYCH,

skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Artur Grottger.

III.

W Polsce walka ustała, ale wśród ciemnych borów litewskich, w tej krainie pełnej hartu duszy, wiary i prostoty, pożar zamiast przygasać, coraz gwałtowniej zaczął się szerzyć. W Polsce biła się przeważnie inteligencja, w celach narodowych; na Litwie chwycił wieśniak za kosę, nie tyle w obronie politycznego bytu ojczyzny, co dla ocalenia wiary swych przodków, zagrożonej szyzmą moskiewską. Polskę prowadzili wojskowi — Litwę duchowni.

Jesteśmy w odwiecznej puszczy litewskiej, znanej z czarownego opisu Adama Mickiewicza, w tej puszczy, w której wnętrzu, wedle podań miejscowego ludu, do niedawna jeszcze ludzka noga nie postała.

Wzdłuż zwolna przeciekającego strumyka, stuletnie, omszone dęby majestatycznie rysują się w oświetleniu idealnem — a przez rozłożyste ich gałęzie, leci coś strasznego — to Genjusz zniszczenia. On skruszy granitowe skały, w proch rozsypie najpotężniejsze miasta, jak zabawkę dziecinną wywróci trony i państwa, zabije organizm roślinny i zwierzęcy — słowem pokona wszystko, co istnieje. Jakżeż trudno uzmysłowić siłę tego rodzaju! Grottger nie wyrysował czarta potwornego, jakby to może uczynił malarz bizantyjski, ani nie przedstawił kościotrupa, nie mającego w sobie oprócz ruchu żadnej iskry życia, jakby to wraz z Holbeinem uczynili wszyscy artyści niemieccy; — ale stworzył coś nierównie wznioślejszego; wyrysował bowiem jakąś głowę zakapturzoną, przy niej kosę zawiesił, i temu symbolowi kazał lecieć ponad bory, morza i miasta. Pomysł ten można śmiało zaliczyć do najszczęśliwszych w dziedzinie sztuki. Siłę zniszczenia trudno określić, a więc niepodobieństwem przedstawić coś takiego, coby ją, że tak powiem, namacalnie mogło uprzytomnić. Ją trzeba czuć — a właśnie w tej głowie zakapturzonej, czujemy nie tylko siłę niszczącą, ale i grozę, jaką zniszczenie wywołuje. W kosie, w chudej ręce, która kosę przytrzymuje, pod kapturem — wszędzie czujemy śmierć. Nawet ryś dziki, instynktem bezmyślnego zwierzęcia odczuwa, że na coś strasznego w naturze się zanosi — bo oto biegnie przez bór, miaucząc przeraźliwie. Gdy człowiek cierpi — dusza świata cierpi....

Lecz dokąd leci ten genjusz?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba pożegnać karton pierwszy a przejść do drugiego.

W małej chacie, stojącej w głębi litewskiej puszczy, jest uboga izdebka. Borowy powrócił z kniei, odstawił strzelbę, a powitawszy żonę i dziecko, usiadł na łóżku. Ciało zmęczone pracą całodzienną, straciło zwykłą rzeźkość, powieki coraz bardziej ciężeją i borowy usypia w siedzącej postawie. Twarz jego łagodna, spokojna, jak człowieka na którym żaden grzech nie ciąży. Niemowlę zasnęło na poduszeczkach w improwizowanej z koszyka kolebce, matka już się rozbiera, gdy w tem ktoś zapukał do okna. Przestraszona kobieta odskakuje od kaganka, który pod oknem płonie, w pierwszej chwili tylko wstyd się w niej obudza, usiłuje się więc zasłonić, ale potem coraz większa zaczyna ją trwoga ogarniać. Kto to być może... w tem miejscu... o tej godzinie... co to za znak? Zbliżyła się do męża, lewą ręką chce go już zbudzić, ale jeszcze odwróciła się do okna, na którego szybie pukająca ręka się rysuje. Jej spojrzenie pełne grozy... Dopiero teraz przypomniała sobie, że na Litwie się biją, że w chacie widywała ludzi tajemniczych, z którymi mąż cicho rozmawiał... Wtedy nie pytała, co te schadzki znaczą, ale teraz rozumie pukanie.... Jej mąż należy do spisku... Przyszli po niego— on z nimi pójdzie....

Zbudził się borowy, a pożegnawszy spłakaną żonę i dziecię, przerzucił burkę przez plecy, do pasa przywiązał torbę myśliwską, wziął strzelbę i wybiegł z chaty. Na dworze zastał cały oddział powstańczy pod dowództwem mnicha. Oto karton trzeci, a na nim nowa scena.

Na niewielkiej polanie, zbrojna w kosy, strzelby, uklękła młódź litewska. Kapucyn o czarnej i długiej brodzie stanął przed szeregiem, podnosząc krzyż do góry. Surowo- badawczem okiem wpatrzył się w borowego, który, przyklęknąwszy przed nim na jedno kolano, lewą rękę przyłożył do piersi, a prawą wzniósł ku niebu, aby za kapłanem odmówić słowa przysięgi: — „Nie zdradzę, walczyć będę aż do zgonu, tak mi panie Boże dopomóż!“ Przy ślicznem oświetleniu księżyca możemy wyczytać: głęboką wiarę i niezłomne postanowienie spełnienia przyjętego na siebie obowiązku, malujące się na obliczu klęczącego — jak niemniej dziwnie silny charakter, bijący z twarzy kapucyna. Obie te postacie równoważą się, a złączone razem tworzą jedną całość, tak jedna drugą dopełnia. Oto żołnierz, który wierząc w Boga i kraj kochając, przysięga, że pójdzie walczyć w obronie wiary i ojczyzny. O resztę on nie pyta. Przeświadczenie o świętości obowiązku, jaki ma spełnić, jest w nim tak wielkie, że cała twarz wydaje się natchnioną, pozbawioną wszelkiego realizmu, idealną. Oto kapłan i wódz, który widząc, czego chce i marząc o zbawieniu całego narodu, stoi jak Bóg przed klęczącym, aby połowę siły swojej wlać w jego duszę. Taki kapłan nie daleko odbiegł od „Mojżesza“, Michała-Anioła. Ten wieśniak i ten kapłan, to prawie naród cały. Pokażcie mi w nowoczesnej sztuce równą kompozycję...

Na rysunku czwartym widzimy naszego bohatera w walce z Moskalami. Na przedzie strzelają. Borowy depcąc moskala, jedynego jakiego nam artysta pokazał, podniósł sztandar do góry, i z tem samem natchnieniem, któreśmy przed chwilą na jego twarzy widzieli, idzie śmiało naprzód, zachęcając drugich swoim przykładem. Za jego plecyma ukazuje się Litwin z dwoma psami, które widząc leżącego Moskala, chcą rzucić się na niego, jak na dzika. Nadzwyczajny ten dodatek, jako zbyt realny, nadweręża szlachetność całej kompozycji, której najwybitniejszą postacią jest borowy, nadzwyczaj szlachetnie pojęty. Te psy łaknące krwi wroga i ten Litwin ucieszony widokiem ranionego nieprzyjaciela, któremu borowy prawdopodobnie z rąk sztandar wyrwał — oto dwa fałszywe dźwięki wśród ogólnej harmonji.

Żona borowego została w chacie, a modląc się i dziecię niańcząc, całemi godzinami leje kule dla męża, który od czasu do czasu przychodzi po te zapasy, potrzebne nietylko dla niego, lecz i dla całego oddziału.

Na rysunku piątym, w kniei noc głucha; w chacie na kominie silny ogień gore; w naczyniu do płomienia przystawionem topi się ołów powoli, a obok leży kilkanaście kul wylanych. Dym w izbie nadto wielki, więc do sieni drzwi otwarte. Nagle Litwince maszynka z rąk wypadła, tak ją coś ścisnęło za serce, a równocześnie niemowlę zapłakało, i wierny pies strzegący kolebki warknął, ku drzwiom się zwracając. Jeden tylko królik, jako niżej stojący w świecie zwierzęcym, obojętnie obgryza listki kapusty. Matka, pochwyciwszy dziecię na ręce hołubić je zaczęła. Na jej twarzy boleść, spowodowana dziwnie złowrogiem przeczuciem... Plecyma ku drzwiom obrócona, nie widzi, że tam w cieniu stanął duch jej męża, wskazujący ręką na serce które mordercza kula przebiła. Ona tego nie widzi, bo duchów nie można widzieć, ale to nieszczęście przeczuwa... Co to jest przeczucie? Czy prawdą jest, co filozof powiedział, że świat w całym swoim ogromie ma jedną wspólną duszę, *alma mundi*, rozłamaną na tyle iskier, ile jednostek i części składowych, i że dla tego, gdy jeden człowiek pada nawet w oddaleniu, przedewszystkiem ten cierpi, kto mu był krwią lub uczuciem najbliższy?... Nie rozwiązuję tej zagadki, bo na świecie nikt jej nie rozwiąże; stwierdzam atoli fakt, stwierdzany miljony razy dziennie, że przeczucie tkwi w naszej naturze. Prawdą jest niemniej, że im ściślejsze węzły łączą nas z naturą, tem potężniejsze w nas to uczucie. Ztąd pochodzi, że wieśniak wierzy w duchy...

Żona, dziecię, pies, każde przeczuło śmierć tego, kto im był najdroższy.

Gdy po ukończeniu przeglądu pierwszych czterech serji, będę mówił obszerniej o talencie Artura Grottgera i jego stanowisku w sztuce polskiej, wrócę do tego kartonu; tymczasem zanotuję, że ze wszystkich kobiet Grottgera, Litwinka z dzieckiem jest najpiękniej pojętą i wykonaną. Sama jedna jest skończoną kompozycją — i nie potrzeba ani ducha, ani tych akcesorjów, któreśmy powyżej wyliczyli, aby odgadnąć, że młodą jej duszę targa bolesne przeczucie.

Borowy zginął. Władze moskiewskie, lubiące za czyn jednej osoby mścić się na całej rodzinie, porwały biedną wdowę z chaty, a powlókłszy ją w Sybir, kazały przy taczkach pracować w kopalni. Co się z dzieckiem stało — nie wiadomo. Może po stracie ojca i matki skonało z głodu w głębi puszczy, może je wilki pożarły, może matce w drodze na rękach umarło, a może kozacy, chcąc zwiększyć cierpienia wdowy, podpalili chatę borowego i dziecię w płomienie rzucili. Powstanie było w obec cara zbrodnią nie do przebaczenia to też i zemsta nie miała granic. Biedna kobieta pracuje w kopalni, a ilekroć dozorca odstąpi na chwilę, pada na kolana, modląc się gorąco do

cudownej Matki z Ostrej-bramy. Na kartonie szóstym i ostatnim, zamykającym „Litanię“, widzimy ją właśnie w takiej postawie. Po stracie wszystkiego pozostała jej tylko wiara; więc gdy klęcząc modli się w pokorze, zdaje jej się, że widzi cudowny obraz przed sobą i niby słyszy słowa pociechy z ust przeczystej Dziewicy. Twarzyczka litwinki wychudła i pobladła, ale za to nadziemska rezygnacja użyczyła jej prawdziwie anielskiego blasku. Ta kobieta, to ideał kobiety chrześcijańskiej... Śliczna ta kompozycja, przypominająca charakterem i układem obrazy świętych, malowane przez mistrzów włoskich, byłaby jeszcze pełniejszą, gdyby Matka Boska nie znajdując się tak blisko klęczącej wdowy, nie występowała w tak ostrych konturach. Wizja nie może być nigdy wybitną. Ją się tylko czuje... Wszak duch borowego nie stał tuż przed żoną. Ona go czuła, nie widząc. Tak samo powinien był artysta postąpić i w tej kompozycji. (C. d. n.)

NA STRAŻNICY.

Nowella Bertholda Auerbacha

przełożył

Mich. hr. Dz.

Rozdział I.

— O której godzinie mam przyjechać po panie? — pytał wygalonowany służący, który otwierał drzwiczki od powozu.

— O godzinie pierwszej — brzmiała odpowiedź.

Tymczasem panie, otulone w zarzutki, z głowami zdobnemi w kwiaty, bądź zupełnie odkrytemi, bądź też lekką tylko przysłoniętemi gazą, kroczyły nóżkami, wciśniętemi w atłasowe trzewiczki, po kobiercu, który szeroko rozpostarty zalegał ulicę.

Gubernator twierdzy, jenerał Kronwächter, dawał dziś pierwszy bal, a pierwszy bal w sezonie, podobnie jak pierwszy deszczyk na wiosnę, ma w sobie coś ożywiającego; lica jeszcze są świeże i toalety także.

Cała strona frontowa wielkiego, poważnego pałacu gubernatora jarzyła się od świateł; na ulicy gorzały żywiczne pochodnie, a dwaj strażnicy policyjni wstrzymywali z obu stron gapiący się tłum, zdobywając dla gości wolne przejście do stojącej otworem bramy. Przed bramą stali na straży dwaj grenadjerzy, którzy stosownie do godności przybywającego gościa, brali broń na ramię, albo prezentowali takową.

Powóz za powozem zajeżdżał; przybywało także wielu pieszych gości, ci byli wyłącznie prawie w mundurach. W obszernej sieni zrzucali młodzi oficerowie swe płaszcze, oddając je forysiom, z rozkazem stawienia się o oznaczonej godzinie. Następnie szło się na piętro po szerokich schodach, pokrytych kobiercami, wśród kwiatów ustawionych po obu stronach; tam przed dużemi zwierciadłami poprawiało się mundur, poczem szło się dalej, w wyprostowanej postawie, z hełmem pod lewem ramieniem. Drzwi otwierały się na oścież, i przez nie wchodziło się do apartamentów.

W pierwszej komnacie, zkąd w prawo i w lewo widać było szereg jasno oświetlonych salonów, stał sam gubernator. Był to mężczyzna słusznego wzrostu, wspaniałej budowy, z siwemi, gęstemi, krótko ostrzyżonemi włosami i blond brodą. Na piersiach jego błyszczał rząd orderów. Tak stojąc, witał przybywających gości nader uprzejmie. Każdemu z osobna mogło się wydawać, że zaprosiny jego szczególniej się tyczyły, lub że rodzaj powitania przed wszystkimi innymi jego odszczególniał; a czasem nawet zdawało się, jakoby gospodarz wysoce uradowanym był niespodziewanem szczęściem, oglądania u siebie tego lub owego pana, tej lub owej pani. Tymczasem w rodzaju powitania były pewne różnice i odcienia. Raz jedną tylko rękę podawał gospodarz gościowi, to znów w obie ręce chwytał podaną sobie dłoń, czasem jedno spojrzenie, jedno skinięcie głowy wiele wyrażało. Jenerał, zwykle surowy, stawał się wesół i ożywiony, gdy miał gości u siebie, a niezwykła ta uprzejmość nie była u niego wcale pozorną, ani wymuszoną. Przytem poczuwał się on w podobnych razach do tego, iż osobą swoją reprezentuje najwyższego władcę, i tem samem do obowiązku, aby być dla każdego uprzejmym i łaskawym. Jak wielu z pomiędzy starszych oficerów, miał i on pewne podobieństwo do panującego, a starał się takowe silniej jeszcze uwydatnić, naśladując go wiernie w sposobie noszenia brody.

Tuż obok gubernatora stała jedynaczka jego, Gabrjela, witając przybywających z taktem i godnością, niezwykłą w tak młodym jak jej wieku.

Gdyby starzy Grecy znali byli „córy żołnierskie,“ byliby niezawodnie stworzyli osobny dla nich typ, bo córka żołnierza posiada odrębne, sobie właściwe znamiona, które nie łatwo określić. Jest to pewna stanowczość w postaci i ruchach, tudzież pewność siebie, objawiająca się w wyrazie twarzy i w sposobie zachowania się, pewna prawidłowość i ścisłość form w obejściu, obok dobrodusznego poczucia koleżeństwa. Wszystko to sprawia na osobie, nie znającej właściwości stanu wojskowego, wrażenie nowe, nie zwykłe. Znamiona te są widocznie wynikiem stanowiska społecznego, i skutkiem poruszania się od dzieciństwa w sferze ściśle od innych odgraniczonej, a wewnętrznie podzielonej na stopnie pierwszeństwa, właściwością stanu, który tak wybitnie, jak żaden inny, już w zewnętrznych swych znamionach nosi cechę swego hierarchicznego ustroju. Należy jeszcze dodać, że Gabrjela obecnie już trzecią zimę, odkąd wróciła z pensjonatu, piastowała urząd gospodyni domu. Jej główka jasnemi otoczona kędziorami, ożywiona błękitnemi oczyma, z ustami delikatnie wykrojonemi i z twarzyczką wyrzeźbioną niby starannym dłutem mistrza, spoczywała na szyjce utoczonej w piękny, wyrazisty kształt. Nie miała na sobie żadnych kosztowności, lecz tylko białą prostą sukienkę z czerwoną szarfą, która opasywała jej kibić smukłą i gibką.

— Mogęż mieć zaszczyt, być zapisanym przez panią do jednego tańca? — zagadnął ją młody porucznik, brunet, z błyszczącemi, ciemnemi oczyma.

— I owszem. Wpisz pan swoje nazwisko, na kotyljona, jeśli to panu dogodnie.

Młody porucznik podniósł zwolna wzrok, który sam jeden zdawał się zdradzać, jak ostrożnie stawione było zapytanie i odpowiedź. Wpisał swe nazwisko, krótko „Hauenstein,“ bo równie dobrze wiedziano o tem, że był *premier-lieutenant*, jak o tem, że był baronem de Hauenstein.

Poczem oddalił się. Promień radości przeleciał na chwilę przez jego twarz młodocianą i pogodną, ale wnet ustąpił miejsca poważnej zadumie. Ztąd i zowąd dolatywały uszu jego ubolewania, że jest to prawdopodobnie ostatni bal, który piękna córka gubernatora zdobi swą obecnością, gdyż, jak wiadomo, została powołaną na dworską damę do boku panującej księżnej, której pierwszą damą pałacową jest hrabina Imben, siostra jej zmarłej matki.

Rozpoczął się taniec. Sala, przepełniona wesołymi, strojnymi gośćmi, przedstawiała widok powabny. Była to komnata w stylu *renaissance*, ze zgrabnemi sztukaterjami i z malowidłem o żywych barwach na sklepieniu, treści mitologicznej; pałac gubernatora był bowiem za dawnych czasów książęcą rezydencją.

Muzyka ukrytą była w bocznej komnacie, a przedzieloną od sali balowej kratami, oplecionemi powojem. Nie widać było mozolących się muzykantów, tylko skoczna nuta tańca dolatywała z głębi.

Najcelniejsze piękności, otoczone rojem wielbicieli, minął Hauenstein, nie próbując więcej szczęścia. Kartę tańców zatknął w zanadrze, wszak nie miał nic więcej w niej do zapisania. Błąkał się po komnatach, zatrzymując się chwilami przed tym to owym obrazem, posążkiem lub innem dziełem sztuki. Wreszcie usiadł w okrągłej sali i począł przerzucać jeden z leżących na stole albumów.

— Kto widział siedzieć tak bezczynnie — zagadnął go nagle ktoś z tyłu. Zerwał się z miejsca i pozdrowił stosownie swojego majora, oświadczając, że nie czuje się dziś usposobionym do tańca.

— A prawda. Rozumiem — odparł major — czytałem także dziś o tem w gazecie. Bolesne to, a nawet okrutne. Był to wprawdzie rewolucjonista, zapaleniec, ale miał jednak przytem w sobie coś szlachetnego, coś dystyngowanego. Nie wiadomo ci, poruczniku, czy miał też jeszcze rodziców lub rodzeństwo?

— Jedną siostrę tylko, zamieszkałą, o ile wiem, we Francji.

— Sam ci to powiedział?

— On sam.

— Zapewne także chciał się dostać do Francji?

— Tego mi nie powiedział, a ja nie pytałem go nigdy o to, czego mi dobrowolnie nie wyjawił.

Major położył rękę na ramieniu młodego porucznika i rzekł: — Nie dobrze to, albo raczej dobrze, że służba tego nie wymaga, ażeby się wdawać z więźniami lub wchodzić z nimi w jakiekolwiek stosunki. Obowiązkiem oficera będącego na straży jest być pomocnym dozorcy, a zresztą nic więcej. Nas to nic nie obchodzi, jaki materjał przechowywują pod dachem, czy amunicję czy też żywych ludzi. A teraz — chodźmy na górę do fajczarni, dostanie tam także szampana.

Udali się więc obaj na drugie piętro, gdzie wrzało zupełnie inne życie. W sali bilardowej, gdzie grano zawzięcie, siedziały grupy osób, częścią wzdłuż ścian, częścią zaś przy okrągłych stolikach. Palono tam i pito, a major zaprosił Hauensteina, ażeby usiadł z nim przy jednym stole, przy którym siedziało już kilku oficerów, między innymi jego pułkownik. Rozmawiano o awansach, o translokacjach, o nowych ćwiczeniach z palną bronią i o tem, kto do nich został odkomenderowany, a wśród tego także o przygodach miłosnych.

W tem zawołał jeden z oficerów:

— Aha! ty, Hauenstein, znałeś tego Polaka, o którym piszą dziś w gazetach. Przypominam sobie, żeś o nim raz opowiadał....

— Pan major znał go także.

— Aleś ty go wydał przecież — nacierał pierwszy.

— Istotnie? — zawołał pułkownik. — Jakże to było? Opowiedz nam pan i to obszernie.

Hauenstein w te słowa zaczął:

— Człowiek ten, jak panom wiadomo, liczący dopiero lat 21, brał udział w rewolucji stołecznej i został skazany na więzienie w twierdzy. Posiadał on głos nadzwyczaj piękny, z początku jednak śpiewał tylko po nocach; wtedy nie dawano mu jeszcze światła. Później otrzymał na to pozwolenie za czyjemś wstawieniem się, czyjem, nie wiem.

— Tak — przerwał major — to ja właśnie otrzymałem ten rozkaz i wtedy to poznałem więźnia tego. Lecz proszę, opowiadaj pan dalej.

— Pozwolono mu — ciągnął dalej Hauenstein — czytywać fachowe dzieła wojskowe. Pewnego dnia, będąc na strażnicy, zawiązałem z nim rozmowę i przekonałem się, że był to człowiek wysoko wykształcony, marzyciel, ale niestety z głową przewróconą fałszywemi zasadami. Oczywiście pożegnałem się bardzo prędko z myślą nawrócenia go, zwłaszcza, że nie leżało to w zakresie mojego urzędu, a zresztą czułem, że nie potrafiłbym był tego dokazać. Wyznał mi otwarcie, że w samotności pragnie wykształcić się na dowódzcę, postanowił bowiem, na głos tak zwanej przez niego wolności, stanąć na czele zastępów rewolucyjnych. Prosiłem go, ażeby zaprzestał mówić o tem ze mną, za co on prosił mnie o przebaczenie, w sposób pełny słodyczy. Wystarałem się dla niego o muzykalja, uzyskawszy wprzód na to pozwolenie. Rad odczytywał nuty w partyturach. Nie dozwolono mu żadnego instrumentu, o co częstokroć gorąco upraszał, ale muzyka, jako wspólne wszystkim i neutralne pole, dostarczała nam dość przedmiotu do miłej pogadanki, zajmujących rozpraw i dyskusji, zwłaszcza że utrzymywał, jakoby Niemcy i Włosi nie byli zdolnymi do życia państwowego, ponieważ przeważnie są muzykalni.

— To dziwna! — wtrącił pułkownik — lecz proszę, opowiadaj pan dalej. Mocno mnie zajmuje ten człowiek.

Hauenstein ciągnął dalej:

— Tak więc powoli, w ciągu tych lat, zawiązał się między nami przyjazny stosunek, a młody ten człowiek w przesadnych wyrazach zapewniał mnie o swojej wdzięczności i obiecywał odwiedzić pierwszej zaraz godziny, skoro wolność odzyska. Nie odpowiedziałem mu na to ani słowa; rozkazałem jednak, by mu powiedziano, w razie gdyby się o mnie dopytywał, że mnie nie ma w domu. Na sześć tygodni pierwej popisał był kreski na murze i codzień jedną z nich wymazywał; każda wymazana kreska przybliżała chwilę, w której drzwi więzienia miały się przed nim otworzyć. Miałem właśnie straż na cytadeli w dniu, w którym o godzinie 8mej rano młody Polak odzyskać miał wolność. W tem o 5tej zrana obudzono mnie ze snu; był to tutejszy dyrektor policji z dwoma obcymi mi ludźmi. Wręczył mi rozkaz ministerjalny, ażebym wydał młodego więźnia tym dwom ludziom. Znaczenia tego rozkazu nie rozumiałem, ale muszę wyznać, że było to przykre zadanie. Zaprowadziłem obu tych ludzi do celi więźnia. Młody Polak, ujrzawszy ich, zawołał rozdzierającym głosem: — To są katy moje! O, że też właśnie pan mnie w ich ręce wydajesz? Ale nie, pan nie zasługujesz na taki wyrzut. Przebacz mi. — Odwróciłem się od niego; dwaj żołnierze z nabitą bronią wzięli więźnia między siebie i wyprowadzili go; za nim owi dwaj ludzie. On więcej nie rzucił okiem i....

Zamilkł Hauenstein i odetchnął ciężko; czuł, że wyszedł z tonu ściśle wojskowego, który nawet na balu i w towarzystwie w obec przełożonego zachowanym być winien. Dodał więc tylko:

— Dalszy ciąg tego opowiadania czytaliście panowie w dzisiejszej gazecie. Przeprowadzony przez granicę rossyjską, chciał uciekać i został porąbanym w kawałki.

— Szkoda go — rzekł po chwili major — była to, jak rzekłem, szlachetna natura pomimo....

— Panie Hauenstein — zawołał, przystępując do niego szybko chorąży — panna Kronwächter kazała zawiadomić pana, że się kotyljon rozpoczyna.

Hauenstein powstał szybko i w okamgnieniu zbiegł na salę. Szczęściem przybył jeszcze na czas, właśnie rozpoczęto przygotowania.

— Czemu nie tańczyłeś pan tak długo? — zagadnęła go Gabrjela.

— Wypoczywałem, ażeby tem raźniej teraz wziąć się do dzieła — odparł Hauenstein — zebrawszy całą moc ducha i puścił się z Gabrjelą kotyljona. Widocznem było, że niektóre żartobliwe a pełne wdzięku zwroty i kręgi w tańcu naprzód dokładnie przez oboje były obmyślane. Starsze damy, zająwszy wzdłuż ściany na podwyższeniu poustawiane fotele, rozmawiały i wszystkie jednomyślnie zgadzały się w tem, że Hauenstein szczególniejszego doznaje odznaczenia; prawda, że pochodzi z dobrej familji, cóż kiedy biedny. Gabrjela zdaje się wyszczególniać go przed innymi, byłoby to jednak z jego strony śmiesznością wyobrażać sobie, że się z nią kiedyś ożeni, dla tego, że gubernator pozwolił mu grywać z nią na cztery ręce. Jedna z dam, w której wydatnych rysach twarzy przebijała się miniona piękność a obecna żądza górowania nad innemi, rzekła z uśmiechem, który zdawał się wyzywać na przycinki i potwarze: „Krótki pobyt na dworze książęcym okaże się dla panny Gabrjeli nader zbawiennym; w każdym razie nauczy ją trochę subordynacji. Jest to bowiem nader niebezpieczną rzeczą dla tak młodej, jak ona, panienki, bez żadnego oporu objawiać we wszystkiem i wszędzie swoją samoistną i samowładną wolę, a Gabrjela z natury już odznacza się niepospolitą siłą woli, graniczącą prawie z uporem.“

Na to nie odpowiedział nikt ani słowa.

Tymczasem młoda para, nie troszcząc się wcale o przyszłość, zdawała się być dość szczęśliwą samą teraźniejszością; a jednak w jednym z przestanków, rzekła do swego tancerza Gabrjela:

— Zdaje mi się dziś czytać w pańskiej twarzy jakiś smutek trudny do wypłoszenia. Czy możesz mi pan powiedzieć, co pana przygnębia?

— Nie tutaj, nie teraz! tyle tylko mogę pani powiedzieć, że to się mnie osobiście nie tyczy.

— No, więc w takim razie wybij to sobie pan z głowy.

Rada ta, zdawało się, nie pozostała bez wpływu na młodego porucznika.

Starsi mężczyźni przybyli z pokojów przeznaczonych do gry i palenia, ażeby przypatrzeć się nowym, pełnym smaku niespodziankom kotyljonowym. Wszyscy zgadzali się w tem, że bal dzisiejszy jest prawdziwym zborem najcelniejszych piękności, a najpowabniejszą z nich jest Gabrjela.

Hauenstein, jako ostatni tancerz Gabrjeli, otrzymał przywilej odprowadzenia jej do stołu. Jakby na skinienie różczki czarownej, po ostatnim zaraz tańcu, stanęły w sali i w bocznych komnatach suto zastawione stoły. Hauenstein siedział obok Gabrjeli. Ona położyła swój bukiet na krześle i przeprosiła go, iż musi oddalić się na chwilę. — Jako gospodyni domu — rzekła, muszę przecież zaglądnąć, czy wszystko w porządku. — Gdy odeszła, Hauenstein wlepił wzrok zamyślony w próżne miejsce i w pozostały bukiet. Gabrjela wkrótce powróciła, a widząc go tak zatopionym w myślach, rzekła:

— Znów masz pan minę smutną. Czy istotnie nie możesz mi pan wyznać, co pana przygnębia?

— W tem miejscu byłoby to niestosownem. Myśmy tu tacy weseli, że patrząc na nas trudno uwierzyć, iż istnieje coś smutnego na świecie. Pocóż mamy smutek przywoływać tutaj? Zresztą muszę dziś skupić całą moją energję. Jutro o godzinie 6 rano mam objąć straż na cytadeli.

— Czy to obowiązek tak przykry?

— Bynajmniej.

— Więc pana co innego przygnębia. Powiedz mi pan otwarcie: czy mogę co uczynić z mej strony, ażeby ulżyć pańskiemu smutkowi? Jeśli mogę w czemkolwiek dopomódz, w takim razie opowiedz mi pan wszystko, proszę pana, jeśli zaś nie, zapomnij pan o tem na teraz, a opowiesz mi to później kiedyś.

— Nie, pani, pomódz nic pani nie możesz, a ja nie mogę pani nic powiedzieć. Ale, masz pani słuszność. Precz ze smutkiem! Życie takie piękne! Uderzmy w kielichy z życzeniem, ażeby to życie było dla nas zawsze tak pięknem, jak dzisiaj!

Trącili się kieliszkami.

I kończył się bal. Jedni do drugich, wdziewając płaszcze, mówili, że mało pamiętają tak pięknych wieczorów jak dzisiejszy, a dziękując gubernatorowi i jego córce, powtarzali to samo z przekonywającą szczerością. Śmiano się serdecznie, gdy Gabrjela na jedno z takich podziękowań odparła, iż sama to czuje, że rzadko kiedy odbyło się wszystko tak pięknie, jak dzisiaj.

Hauenstein, żegnając się z Gabrjelą, nie rzekł do niej więcej ani słowa; ani ona do niego. Odwróciwszy się, dotknął tylko ręką kwiatka, wpiętego w mundur. Kwiatek ten ona uszczknęła ze swego bukietu i jemu dała.

Na ulicy zawołali za nim koledzy:

— Hauenstein! Chodź z nami do kasyna. Nordeck przegrał w zakład trzy kosze szampana. Chodź!

Hauenstein wymówił się tem, że się czuje znużonym i że jutro ma straż zaciągnąć. Kilku kolegów zawołało jeszcze za odchodzącym: Jutro wieczór przyjdziemy do ciebie na wista. Przygotuj tam wazę ponczu! (D. n.)

PAMIĘTNIKI z r. 1831,

Ignacego hr. Komorowskiego.

Korpus Umińskiego.

(Ciąg dalszy.)

Deibel, rodem Prusak, był już za czasów francuskich przy intendenturze; znał swój zawód doskonale, i umiał obliczyć, że przy tak wysokich cenach owsa i siana, kilka tysięcy racji tegoż ładną robią sumkę, którą warto do kieszeni schować, a konie przez jedną dobę nie popadają. Zasiadłem więc, dawszy rozkaz wachmistrzom żeby na wozy nabierali; po czem pod eskortą plutonu odstawiliśmy furaż do obozu.

Znowu parę dni minęło spokojnych; nakoniec emisarjusze dali znać Generałowi, że Rydiger opuścił Lublin, i ciągnie powoli ku Cegłowu. Na tę wiadomość, przenieśliśmy naszą główną kwaterę do Janowa, na szosie niedaleko Kałuszyna; tam stanęliśmy w bardzo ładnym pałacyku, bez piętra. Ale znać było w nim pobyt poprzedni Moskali; na środku saloników na bardzo pięknej posadzce, kozaki nakładali ognie. Posadzki powypalane, obicia okopcone, okna powybijane świadczyły o wandalizmie wojska, czyli zgrai rabusiów, służących za narzędzie despocie, któremu się zdawało, że spokój i porządek całej Europy na jego barkach spoczywa.

Na drugi dzień po przybyciu do Janowa, posłał mnie Generał z dywizjonem 4. ułanów, do Siennicy, o półtrzeciej mili od Janowa. Dywizjonem komenderował kapitan Zajączkowski, stary żołnierz i bardzo oględny oficer. Ruszyliśmy. Ziemia tamtejsza, jak zwykle w Podlaskiem, zarosła małemi sosnowemi laskami i piaskami. Gdyśmy tak szli z kapitanem na czele, przylatuje z tylnej straży podoficer i melduje, że w życie widział wedetę kozacką. Zajączkowski odkomenderował patrol, żeby dotarł do tego miejsca; patrol nas dogonił przed Siennicą, meldując, że nikogo nie zastał, i że widział tylko na piasku ślady niekutych koni, więc wnosi, że to musiał być chłop, albo ekonom miejscowy. Podoficer wysłany z patrolem był akademik; jeden z tych, co to wszystko w różowych widzą kolorach.

Maszerowaliśmy dalej. Zajączkowski tylko wąsa pokręcał i mało co mówił; widzieliśmy bowiem, że taki mały oddział kozaków umie się lasami przedrzeć przez wojsko nieprzyjacielskie, i tym sposobem doskonale zdaje raporta. Stanąwszy w Siennicy o południu, uregulowaliśmy kresy i doniosłość patrolów, a ja popasłszy konia, zabierałem się do powrotu, i miałem już siadać na konia i puścić się w drogę, gdy wtem mówi mi kapitan: „Jeżeli chcesz, to ci dam eskortę z 3. ludzi, bo mnie ta wedeta niepokoi.“ Nie chciałem przyjąć eskorty; miałem bowiem doskonałego konia, który w razie napadu uciekłby, a eskorta na gorszych i sfatygowanych koniach byłaby zabraną; ścisnęliśmy sobie ręce i pojechałem. Droga szła ciągle pomiędzy młodemi sosnowemi laskami i żytem lichem, na piaskach w zagony sianem. Łatwo sobie wystawić, żem się ciągle na wszystkie strony oglądał, bo zasadzka na pojedyńczego bardzo łatwa była; jechałem stępo, i małym kłusikiem, żeby konia nie fatygować. Gdym się zbliżył do miejsca, gdzie widzieliśmy tę wedetę, natężałem co raz bardziej wzrok; nagle po prawej stronie, wypada z lasu 8 kozaków i z krzykiem „Nie ujdiosz!“ pędzą wprost do mnie. Odległość ich odemnie była mniej więcej 1000 kroków; zwróciłem konia na lewo, i kłusem, oszczędzając siły konia, jadę przez żyto liche na szczęście, do lasku, dochodzącego do szosy. Jakem zobaczył że kozaki się już na sto kroków prawie zbliżają, pocisnąłem konia, który zaraz powiększył odstęp między nami; widząc to kozaki, wzięli się do janczarek i w biegu, jeden po drugim, strzelali, a niektórzy potknąwszy się na zagonach, padali z końmi. Przygotowany na ten wypadek, odkryłem olstra, jeden pistolet wziąłem w prawą rękę, i pałasz na niej na temblaku zawiesiłem, w obawie żeby się koń nie potknął, i tak leciałem, co koń może wyskoczyć, a dopadłszy lasku sosnowego, zaraz zmieniłem dyrekcję biegu. Kozacy ponabijali janczarki, strzelali za mną, i kule nie w wielkiej odległości świstały. — W kwadrans może, na spienionym koniu, dostałem się do szosy, i spotkałem jakiś szwadron nasz, wracający z „Grand Gardy.“ Byłem uratowany! Pojechałem kłusem do Janowa i zdałem Generałowi raport. Ja potrzebowałem trochę wypoczynku, i koń był zmęczony, więc wypiwszy haust wódki i zjadłszy kawałek żołnierskiego chleba, padłem na słomę, dawszy poprzednio rozkaz memu człowiekowi, żeby drugi koń osiodłany był w pogotowiu.

Spałem w najlepsze, w tem śni mi się, że słyszę strzały harmatnie. Obróciłem się do ściany, sądząc, że ranne wrażenia jeszcze mnie persekutują. Ruch się zrobił w głównej kwaterze, i ktoryś z poczciwych kolegów, trącił mnie nogą, wołając: Na koń!

Zerwałem się; Już Generał siedział na koniu i mój już był wyprowadzony; dokończyłem zapinania guzików husarskich i na konia wskoczyłem. Był to dzień, w którym Dybicz dowiedział się o wyprawie na Gwardje, i wyruszył z Suchej i Siedlec razem, nie chcąc zostawiać za sobą, niealarmowany nasz korpus; dał więc rozkaz, ażeby przed wieczorem uderzono na nas.

Od Kałuszyna szła dywizja piechoty, parę pułków jazdy i dwie baterje; szły naprzód: pułk 3. strzelców i 2 armaty; nasi się w szachownicę odstrzeliwali, i znaleźli się znowu na wysokości Jędrzejowa. Generał kazał wystąpić całemu korpusowi, a zobaczywszy, że to tylko lekki rekonesans, kazał dać kilka wystrzałów z armat i cofnąć się nazad Przy tej operacji straciliśmy tylko trębacza z 3. batalionu strzelców konnych. Było to w dniu, w którym Dybicz ruszył na odsiecz gwardjom; rekonesans był zrobiony jedynie tylko, żeby się przekonać, czy nasz korpus na miejscu stoi.

Nim zaczęli Moskale strzelać, przyjechał z Warszawy subjekt cukiernika Szymańskiego, i usadowił się w jednym pokoju, koło komina, na którym wielki rozłożono ogień; radość była w całym sztabie, bo dobrych wiktuałów od kilku dni brakowało; ale ów subjekt, jak tylko usłyszał gęste strzały, spakował się ze wszystkiem, i ujechał ku Warszawie; ledwie że który z nas na prędce dostał kawałek szynki i szklankę wina, którą już na koniu wypić musiał; nie mając niby drobnych do zdania z 18 lub 25 złotowego banknotu, zabierał całe poczciwy subjekt. Mimo to każdy był rad, że gwałtowny apetyt zadowolił.

Moskale się cofnęli, a my wieczorem na dawną kwaterę do Brzezin pomaszerowaliśmy. Tam, dopiero na drugi dzień rano, zjawił się znowu pożądany Szymańskiego satelita, i w krótkich abcugach przedał wszystkie swoje zapasy. Znowu dzień cały przeminął spokojnie. Nasza lekka jazda, to jest Lubelski i Augustowski pułk, obserwowały nieprzyjaciela po prawej stronie Kostrzynia, rzeczki małej pod Siedlcami płynącej. W nocy przyszedł do Generała raport od Mikołaja Kamieńskiego, naówczas majora pułku Lubelskiego. Kamieński był jeden z najwaleczniejszych oficerów wojska naszego, ale roztrzepaniec i lekkoduch ogromny. Donosił, że dotarł pod same Siedlce i tam się dowiedział, że w mieście nie ma więcej nad 300 piechoty i trochę kozactwa, lazaret z kilku tysięcy złożony i ogromne magazyny.

W tym momencie wydał rozkazy Generał ażeby o wschodzie słońca, cała dywizja piesza generała Milberga ruszyła forsownym marszem przez szosę do Siedlec i takowe *coute que coute* opanowała. Dywizje zaś jazdy generała Tomickiego miała maszerować po lewej stronie Kostrzymia na Suchę, Mokobody, Hodów i tam czekać póki nie usłyszymy strzałów działowych. Ja dodany zostałem do dywizji gardy, i z nią o 3. zrana wymaszerowałem; Fredro zaś do dywizji piechoty, ażeby jak tylko Siedlce zajęte zostaną, zdać raporta Generałowi.

Z Brzezia do Siedlec 9 mil; droga piaszczysta, upał mocny utrudniał marsz pospieszny. Zatrzymaliśmy się o południu w Suchej, gdzie stał okopany Dybicz. Wieś ogromna należąca do panny Cieszkowskiej, nad Kostrzyniem, cała, co do jednej chałupy zdemolowana była przez Moskali oprócz ładnego domu w którym stał Dybicz. Kominy gdzie niegdzie sterczały i smutny przedstawiały widok ogólnej ruinacji; naokoło wsi okopy obozu na 20 kilka tysięcy wojska, przed wyjściem Moskali, po większej części rozkopane były. Objechałem je i ile można było na prędce zdjąłem *a vista* planik tego obozu, żeby go Generałowi przedłożyć. (C. d. n.)

JASKÓŁKA

z

Lamartine'a.

O! nie uciekaj, czarna ptaszyno,
Skrzydełkiem rozpędź me czarne sny, —
O! nie uciekaj, bo łzy mi płyną,
Wszakże wędrowcem jestem, jak ty!

Na świat rzucony srogim rozkazem,
Błąkam się senny śród nocnej mgły —
Chodź! — będziem śpiewać i płakać razem
Czym nie samotny tak, jak i ty?

Może ci gniazdko twoje rodzone
Z pustoty zniszczył człek jaki zły?
I mnie wydarto ojczystą stronę
I jam wygnańcem smutnym, jak ty.

Jeśli twe pisklę w srogą zawieję
Na nikłém gniazdku ze zimna drży,
Ja — mojem tchnieniem pierś mu rozgrzeję,
Czyż nie znam uczuć matki — jak ty?

Jeśliś widziała w życia kolei
Mych drogich braci męczeńskie łzy,
Zanieś im małą różczkę nadziei
Czyliż nie jestem ptakiem, jak ty?—

Ja już nie płaczę, jeśli tyrany
Z mojego kraju nie otrą krwi;
Aby wolności szukać wygnanej
Czyż nie mam nieba, tak jak i ty? —

B. Czerwieński.

POGADANKI.

V.

Przyszło nam tedy na myśl, tj. nam, Lwowianom, że jak świat światem, nie zrobiliśmy nigdy nic dla sztuki, prócz tego chyba, że postawiliśmy na moście przy Wałach kominek, o który oparliśmy Św. Michała, aby nie zmarzł, skoro pozbawiono go skrzydeł i odjęto mu tym sposobem możność ulecenia w niebiańskie i cieplejsze niezawodnie sfery. Zerwaliśmy się do czynu i postanowiliśmy kupić jeden, albo dwa obrazy Matejki, a nawet całą galerję obrazów, jeżeli zbierzemy dość pieniędzy. Chwalebnej tej myśli tem bardziej życzyć należy powodzenia, im trudniej u nas o kupca na obrazy. Nie mamy państwa, któreby kupnami i zamówieniami zachęcało artystów Polaków do poświęcania się malarstwu. Gminę bogatą mamy tylko jedną, ale ta wysiliła się już na wyżwymieniony kominek i ma nadto na głowie dwóch Janów, których musi restaurować: Jana z Dukli przed Bernardynami i Jana Nepomucena koło willi Fredrów. Lakier jest drogi, o robotnika trudno w tych czasach, gmina stołeczna nie może rujnować się na fantazje artystyczne, a zresztą, o ile ją stać na to, daje ona dowody jak najwykwintniej rozwiniętego smaku: wszak nieniedawno pobielono nanowo lwa, strzegącego wejścia do biur c. k. dyrekcji policyi i zaopatrzono go w ciemnopopielatą grzywę, jakiej nie posiada nawet lew św. Marka w Wenecji. Jest to prawdziwie medycejska rozrzutność, osobliwie jeżeli się zważy, że nadto, ku większej ozdobie miasta, jednostajną zieloność słupów od latarni gazowych przerwano lakierowanemi na biało, nader symetrycznemi i jakiemiś figielkami, czego już ani w Atenach nie bywało. Któż będzie kupował obrazy? Wprawdzie na przestrzeni między Sanem a Zbruczem, nie zaglądając nikomu do kieszeni, z łatwością naliczyć można dwadzieścia indywiduów, z których każde ma więcej niż parę miljonów guldenów majątku, a uboższych miljonerów znajdzie się także nie mało. Cóż kiedy jeden nie mieszka w kraju, drugi amelioruje majątek, trzeci zajęty jest polityką, czwarty końmi, a piąty bankami, podczas gdy szóstego zrazili sobie artyści krajowi. Zamówił u rzeźbiarza nagrobek, ale jako człek przezorny, wysełając ekonoma po młocarnię do Lwowa, polecił mu, aby zaglądnął do pracowni artysty i zobaczył, po jakiemu on to „dziubie“. Ekonom wrócił i zdał sprawę, że ta „figura“ jakoś mu „się nie widzi“, i że kamieniarz w miasteczku opodal zrobi dwa razy tyle za połowę ceny. Na tem też stanęło, zamówiono nagrobek u kamieniarza, a artysta może wytoczyć proces panu hrabiemu, jeżeli znajdzie adwokata, coby mu darmo poprowadził sprawę.

Zostają więc jeszcze nie-miljonerowie, i zostaje droga składek, której się chwycono. Pochopny do zrozumienia i poparcia każdej goretszej myśli, p. Ludwik Skrzyński, nie uchylił się i tu od współdziałania, a komitet zawiązany pod jego przewodnictwem liczy na to, że kraj cały pojmie o co chodzi, i dla czego „Unja“ i „Batory“ powinne stać się własnością publiczną, chociażby nawet znaleźli się rychło prywatni nabywcy. Niechaj Sejm rozbiorowy wisi w zbiorach Belwederu wiedeńskiego, ale „tryumf nad obcym wrogiem i tryumf nad hydrą domowej niezgody,“ niechaj będą u nas i — przy nas. Wolno być zabobonnym w tej mierze.

* *

Krytyk niemiecki, Ranzoni, zastanawiał się niedawno nad tem, że u Niemców mimo niezaprzeczonego i potężnego ich rozwoju narodowego w ostatnich latach, nie popłacają i nie kwitną wcale wyższe rodzaje malarstwa — sielanki zaś i krajobrazy, zwierzęta, kwiaty, i inne drobne pieścidełka znajdują popyt wielki i udają się też nierównie lepiej. Ranzoni powiada, że każdy naród ma taką tylko sztukę, na jaką zasłużył. Konkluzję każdy sam znajdzie. Polot ducha niemieckiego jest dziełem tresury. Uczą w szkołach i w koszarach, jak trzeba słuchać, jak maszerować, a jak strzelać — potem komenderują, maszerują, i bitwa wygrana. Tak samo postępują ich malarze historyczni. Czytają tyle a tyle traktatów estetycznych, nabywają tyle a tyle techniki, biorą tyle a tyle figur, zestawiają je podług głęboko obmyślonego planu, i oto jest obraz, w którym jest wszystko, oprócz fantazji, uczucia, poezji. Świadkiem Tusnelda Pilotego, którą widzieliśmy na wystawie powszechnej. Tyle w niej śladów twórczej, samorodnej, a nie w rekruty wziętej i wymustrowanej wyobraźni, ile narodowego zapału i niewmówionego porywu w zwycięstwach pruskich. Tu i tam tylko szkoła, rutyna, komenda. Dlatego też, chociaż Ranzoni pociesza się, że wkrótce i w Niemczech dźwignie się fantazja poetów i artystów, trudno w to uwierzyć. „*Ordnung muss sind!*“ grzmi komenda z Berlina, i strworzone pierzchają muzy.

Powiedziała sobie atoli Akademja berlińska, że ponieważ z każdego Prusaka może być doskonały kapral, więc może być z niego i doskonały malarz. Ztąd wylęgła się myśl owego ciekawego konkursu, którego szczegóły i warunki znajdzie czytelnik poniżej w informacyjnej części „Tygodnia“. Kandydat do nagrody musi być przedewszystkiem Prusakiem — nie dodano atoli, czy z urodzenia, czy z aneksji. Nie śmie mieć więcej jak 30 lat, zapewne z tego powodu, by był obowiązanym do służby w landwerze, i by go można dać zastrzelić Francuzom albo Duńczykom, gdyby się pokazało, że ma wiącej fantazji, niż jej regulamin przepisuje i pozwala. Następnie ma przysiądz, że prace konkursowe wykonał bez obcej pomocy. Ciekawa rzecz, czyli to „*farà da se*“ rozciąga się aż do naciągania płótna na ramę, i czyli przysięga będzie wykoną na białe bokobrody cesarza Wilhelma, lub też na trzy włosy Bismarka? Gdy zaś ten *Regiments-Maler* dopełni już powyższych warunków, wymalować ma „Ulisesa w chwili, gdy zalepiwszy uszy swoim towarzyszom, sam przywiązany do masztu, słucha śpiewu Syren i rwie się ku nim i skoczyłby w wodę, gdyby nie dobrowolne pęta“. Odyseus ten będzie oczywiście symbolem rekruta, którego łechce i znęca prask knedli, smażonych tam na przypiecku, u troskliwej macierzy — ale on związany służbą i otoczony starymi wyjadaczami, głuchymi na melodję smalcu skwarzącego się w rondlu, stoi na posterunku i tylko pewne lekkie drżenie pikelhauby zdradza w nim wewnętrzną, tragiczną walkę obowiązku z tłumionym apetytem. Gdy będę miał czas, opiszę to wszystko pięknym niemieckim rymem i podam się do Weimaru na *Dichterfürsta*. Gotów jestem zresztą przysiądz, że mi nikt nie pomagał, i że sam nie zapomogłem się znikąd — chociaż przysięga taka będzie może zbytną z powodu iż praca moja nie będzie przeznaczoną do roczników Akademji krakowskiej, w których od czasu do czasu pojawiać się mają *pensa* przepisywane z cudzych książek.

* * *

Z powodu „pensów,“ niechaj mi będzie wolno zapytać się publicznie, co się stało z myślą podniesioną i bronioną, zaraz przy założeniu Akademji umiejętności w Krakowie, przez profesorów Żmurkę i Biesiadeckiego? Chodziło o to, by do roczników polskich Akademji dołączać krótkie streszczenie zawartych tam prac, po niemiecku albo po francusku. Ponieważ uczeni zagraniczni rzadko kiedy umieją po polsku, dodatek taki do roczników miałby wartość podwójną. Akademje zagraniczne dowiadywałyby się z niego o pracach naszych uczonych, zasługujących na uwagę, i cudzoziemcy nie mogliby — jak to nieraz czynią — windykować sobie pierwszeństwa niejednego pomysłu, odkrycia itd. na naszą niekorzyść. Powtóre, uczeni pisarze nasi byliby ostrożniejszymi w przepisywaniu — nie przeżuwaliby rzeczy już przeżutych, nie popisywaliby się pracami nie wytrzymującemi surowej krytyki. Roczniki Akademji, jeżeli się nie mylę, służyć mają do tego, by w nich zaznaczono postępy wiedzy ludzkiej w każdym kierunku. Mniej to zapewne odpowiada ich przeznaczeniu, jeżeli zapełnione bywają pracami tego rodzaju, jak np. „Dzieje kościoła katolickiego w Szwecji,“ napisane bez najważniejszych, bo miejscowych szwedzkich źródeł. Można się spodziewać, że w celu osiągnięcia takiej podwójnej kontroli, podniesioną będzie na nowo myśl wydawania dodatku do roczników w obcym języku. W następnym numerze „Tygodnia“ znajdzie się artykuł, dowodzący jasno potrzeby takiej kontroli. Pozwolę sobie tylko dodać tu uwagę, że nie zawsze znajdzie się w kraju krytyk, któryby miał ochotę lub śmiałość wytknięcia uczonemu jakiemu autorowi usterek pewnego rodzaju. Musimy przeto oprócz własnego, poddać się obcemu sądowi — dlaczego nauka nie ma mieszkać w takim szklannym domu, w jakim *nolens-volens* mieszka sztuka?

* * *

Od miesiąca, aż do dnia wydania obecnego numeru „Tygodnia,“ Lwów miał pewne niewyczerpane źródło powszechnej wesołości, o którem w „Pogadankach“ mówić mi nie wolno, ale którego każdy domyśli się z łatwością, skoro dodam, że „Szczutek“ korzystał obficie z tej kopalni śmiechu. Niestety! śmiać się potrzeba, i nie śmiać się trudno — dobrzeby atoli było, gdybyśmy w pewnych razach nauczyli się śmiać, zgrzytając przytem zębami. „Szczutek“ próbuje nie bez powodzenia śmiać się w ten sposób, zwłaszcza od pewnego czasu — dawniej bowiem wywodził wieczne jakieś *adagio lamentoso* i był czemś nakształt organu polityki sentymentalnych panien, nie zaś pismem satyryczno-politycznem, jakiego tu potrzeba. Obecnie wpadł w ton więcej „cięty“ i wcale mu z tem do twarzy, zwłaszcza gdy udało mu się jednocześnie odkryć skarb nieoceniony — karykaturzystę. Nie tak to łatwa rzecz, jak się zdaje. „Szczutek“ miewał doskonałych rysowników, między innymi Leopolskiego i Sidorowicza. Pierwszy z nich stworzył przepyszne typy: Onufrego, hr. Artura, ciocię Kizię — drugi dostarczył całego szeregu wybornych portretów. Cóż z tego, kiedy — skoro potrzeba było szarży, bez której nie obejdzie się karykatura, albo skoro z piątku na sobotę potrzeba było ilustrować świeży jaki wypadek w sposób humorystyczny i łatwo zrozumiały — artystyczny zmysł malarzy z powołania buntował się przeciw temu. Nie piękna linja, nieładne ugrupowanie — to dla nich

było zgrozą. A jednak i ten rodzaj sztuki ma swoje uprawnienie, jak ma je np. krotochwila. Tylko że jak Mickiewicz nie byłby nigdy potrafił napisać „Posażnej jedynaczki“ ani „Piosnki wujaszka“ tak tamci artyści nie mogli zastosować się do wymagań humorystyki. Satyra w takim pisemku musi być nieraz ostrą, osobistą, trudno mu przestawać na samych ogólnych typach, starannie, *à loisir* skomponowanych i skreślonych. Rysownik musi rzucać na papier linje, które za chwilę odbite w tysiącu egzemplarzy, rozchodzą się po świecie, nie wygładzone, koszlawe, ale trafne i śmieszne. Dla tego też najlepszymi często karykaturzystami bywają dyletanci, i takiego znalazł *Szczutek*. Miarą talentu jest tutaj efekt komiczny — skoro podobieństwo schwycone jest od biedy, a widz się śmieje, karykatura jest dobrą. Na tegorocznej wystawie sztuk pięknych we Lwowie, widzieliśmy figurki z gliny, utworu p. E. Błotnickiego, którym krytyka z majestatu swojej powagi mniej poświęciła względów, niż na to zasługiwały. Był między innemi chłopak wiejski, brzuchaty i pulchny, siedzący na przyzbie i uśmiechający się do miski z pierogami, która się do niego uśmiechała. Największy melancholik, zobaczywszy tę figurę i jej dobry humor, musiał rozchmurzyć się na chwilę, a ponieważ melancholików nie wielu zwiedzało wystawę, więc śmieliśmy się wszyscy do rozpuku. Tylko krytycy, jakkolwiek uczeni z niemieckich książek, zapomnieli, że komiczność jest także rodzajem piękna, sklasyfikowanym przez Niemców — pierogi wydały im się zbyt trywialnemi i wywołały arystokratyczne milczenie. Ba, gdyby chłopak uśmiechał się do pomarańczy, i miał rysy neapolitańskie, a nie ruskie! Ot — panicze, pomarańcz im się zachciewa!

* * *

Jednemu zachciewa się pomarańcz, a drugiej — wspominałem już o niej — zachciało się rozgłosu, hałasu i wrzawy tonów grzmiącej harmonji i druzgocącej fortepiany straszliwej burzy rapsodów, i... miłości tych cudów króla, o chudem obliczu, o spiczastym nosie, długich włosach i czarodziejskich palcach. Panny, mężatki i wdowy, jak słyszałem, nadzwyczaj łatwo wpadają w czarodziejską, niewidzialną sieć, jaka się rozsnuwa z dręczonych w pewien sposób klawiszów. Nie wiem, czy to prawda, sam bowiem gram tylko na pozytywce i w wista, ale zapewniono mię, że tak bywa, i nie daruję tego nigdy Bazylianom w Buczaczu, że mnie nie nauczyli grać na fortepianie. Bądź co bądź, nie tylko autorka „des souvenirs d'une cosaque“ wydała głośny jęk boleści z powodu uczuć swoich wzgardzonych przez króla klawiszotłuków, ale i on sam ogłosił już swoją odpowiedź, zapowiadaną przed dwoma tygodniami, i w odpowiedzi tej potwierdza po części, a po części prostuje w nielitościwie pozytywny i realistyczny sposób jej opowiadania. Powtarzać tych sprostowań niepodobna — musiałbym chyba, jak prokurator państwa w pewnych wypadkach, prosić o „rozprawę przy drzwiach zamkniętych“. Przytoczę jedynie, na złość muzykom wierzącym w orfeuszowską i amfionowską potęgę swojej sztuki, to, że sam ich król nie klawiszom tłuczonym i łomocącym jak tartak rapsodom przypisuje mimowolne swoje zwycięstwo nad sercem *d'une cosaque*, ale tej okoliczności, iż chciała, by mówiono o niej, jako o faworytce króla, i w tym celu przez parę lat „dręczyła go swoją miłością“ (cytat dosłowny.) Całe to zajście muzykalno-literackie zasługuje zresztą na uwagę tylko o tyle, o ile narobiło wrzawy za granicą, w gruncie *„les souvenirs d'une cosaque“* równie jak *„les souvenirs d'un pianiste“* są nudnemi ramotami, których bez ziewania przeczytać niepodobna. Kto się chce bawić, niech sobie raczej kupi „Wędrówki delegata“ p. Jordana, a dowie się oraz, jakie oryginały zamieszkują tu i owdzie królestwo Kongresowe. „Tydzień“ umieści wkrótce sprawozdanie o tej książce w istocie zajmującej i pełnej dobrego humoru.

Jan Lam.

TEATR.

(Tryumf Melpomeny — „Salomon“ — „Szermierz z Rawenny“ — „Marja Tudor“ — „Marja Stuart“ — „Dziewica Orleańska“ — Występy J. Rychtera.)

W murach skarbkowskiego gmachu zapanowały ruch i nowe życie. Mówiąc o „ruchu“ i „życiu“, oczywiście nie posądzi mię nikt, abym miał na myśli to co się teraz dzieje w sali redutowej, która z dawien dawna słynie tylko z nieudałych maskarad, lecz raczej to, co się dzieje w najbliższem jej sąsiedztwie, w świątyni Melpomeny lwowskiej. Melpomena pobiła z kretesem swą koleżankę Clio, w sali redutowej... Galicyjska bowiem Clio wzięła się w tym roku na spoób, i ażeby odebrać chleb swej koleżance Melpomenie, postanowiła rywalizować z nią, i to naprzód w zakresie „niższej komiki“... Nie zbywało jej wprawdzie na siłach potrzebnych do tego „fachu“ i istotnie powiodło jej się wydobyć kilka świetnych efektów — galerja śmiała się do rozpuku... W końcu jednak połapano się, że zabawa ta za drogo kosztuje a krytycy stwierdzili, że komika jest zbyt płaską, i — zwycięstwo pozostało przy Melpomenie. Fakt ten świadczy, że gust publiczności zaczyna się skłaniać ku kierunkowi poważniejszemu... Występy pani Rakiewiczowej odniosły tryumf nad „ustawą wodną“, a wnioskodawca „bezzwrotnych pożyczek“ zbladł w obec pani Majeranowskiej, chociaż śpiewaczka ta nie posiada dziś ani połowy tyle „głosu“, ile go „zabierał“ jej współzawodnik w rozmaitych kwestjach...

Szereg nowości i niespodzianek, jakie w ciągu upłynionych dwu tygodni stały na porządku dziennym... chciałem powiedzieć — na repertoarzu tutejszego teatru, rozpoczął 3-aktowy dramat Wacława Szymanowskiego p. t. *Salomon*. *Salomon* ten, niema nic wspólnego z mędrcem biblijnym. Przeciwnie, jest to zatwardziały z gruntu husyta krakowski z XVI wieku, który swą córkę, Sarę, zabija za sercową skłonność, jaką powzięła ku młodemu Polakowi: Janinie. W tych kilku słowach zawiera się cała treść sztuki, o której nic zresztą nie da się powiedzieć, jak tylko, że nie zawiera w sobie nic nowego i nic oryginalnego, ani w pomyśle, ani w przeprowadzeniu, ani w charakterach, ani też pod względem psychologicznym. Od początku do końca urobioną jest podług odwiecznej recepty, którą zastosowywać można zawsze bez najmniejszego narażenia się na zarzut świato-burczych zamiarów. Jedyną więcej zajmującą postacią jest talmudzista Efraim. Utwór ten posiada zresztą język piękny, jedyny zwykle przymiot dramatów, w których trudno dopatrzeć się innych zalet. Sztuka ta po jednorazowem przedstawieniu spoczęła na półkach tradycji, dokąd schroniła się przed obojętnością publiczności, oczekując cierpliwie aż głos archanioła powoła ją znowu na deski sądu ostatecznego.

Na deski zaś teatru lwowskiego wstąpiła po „Salomonie“ pani Rakiewiczowa, ze „Szermierzem z Rawenny“, z „Marją Tudor“, z „Marją Stuart“ i z „Dziewicą Orleańską“. Jako Tusnelda w *Szermierzu z Rawenny* podbiła pani R. od razu publiczność. Była to postać posągowa, pełna majestatycznej grozy i wielkości koturnowej, a jednak bez cienia owego ckliwego, bombastycznego patosu, w jaki tak łatwo popaść w podobnej roli nie mając tego „przekonania dramatycznego,“ tego ciepła, które utworowi sztuki nadaje życie, krew i ciało. Scena zwłaszcza zabicia Tumelika wstrząsnęła wszystkich do głębi swą tragiką pełną prostoty zarazem i siły. Zresztą sztuka sama dość u nas znana, ażebym się potrzebował szerzej o niej rozpisywać. Nie mogę jednak nie wyszczególnić gry p. Woleńskiego, w roli Tumelika, która tak świetnie odbijała od jego gry w tej samej roli przed rokiem, jak w ogóle cały obecny kierunek jego artystyczny od dawniejszego. Do czego to doprowadzić można przy talencie, jeżeli go wspiera praca!... P. Edgar jako Kaligula miał niebezpiecznego współzawodnika w świeżem jeszcze wspomnieniu p. Ładnowskiego w tej roli. Niesprawiedliwością jednak byłoby nie przyznać p. Edgarowi, że zrobił co mógł i dobrze zrobił.

Pani Rakiewiczowej zawdzięczamy wznowienie nie granego już dawno dramatu Wiktora Hugo p. t. *Marja Tudor*. Treść do tego utworu zaczerpnął W. Hugo nie z życia ściśle politycznego tej królowej, do czego pierwsze chwile jej wstąpienia na tron angielski a zwłaszcza wiążąca się z niemi tragiczna historja Joanny Grey, prawnuczki Henryka VII, dość dramatycznych nastręczałaby mu była motywów, lecz z prywatnych jej stosunków miłośnych z chytrym Włochem, Fabianim, którym to stosunkom pozwolił sobie autor przypisać pewne wpływy i skutki polityczne. Nie wchodzę w to, czy i o ile to jest zgodnem z prawdą historyczną, mniemam jednak, że przez przedstawienie bohaterki swej w takich okolicznościach, które okazują ją w dwojakiem świetle „królowej“ i „kobiety“, w których „królowa“ spotyka się z „kobietą“, i gdzie spotkanie to rodzi konflikt dramatyczny, zyskał autor wdzięczniejsze i obszerniejsze pole psychologicznego działania.... Zresztą nie byłby Francuzem W. Hugo, gdyby inaczej był rzecz tę ujął!... Pomysł był szczęśliwy, ale przeprowadzenie jego, budowa utworu i pojedyńcze jej części, noszą na sobie to samo charakterystyczne piętno, jakie znamionuje wszystkie utwory tego genjalnego poety-ekscentryka, który na poły istotnie jest dziwakiem a na poły na takiego pozuje.... Przesada, lubowanie się w niepodobieństwach, w dziwactwach, mówiąc po prostu: blaga, jest cechą wszystkich, nawet najgenjalniejszych jego utworów, z wyjątkiem może kilku najwcześniejszych. W utworach lirycznych: blaga słów i wyrazów, w utworach epicznych: blaga wydarzeń i faktów, w utworach dramatycznych: blaga sytuacyj... Tę blagę spotykamy także w niniejszym utworze. Weźmy tylko ową scenę aktu 2, tak efektowną pod względem dramatycznym, w której królowa (w ówczesnych tak etykietalnych czasach!) przed całym dworem zgromadzonym, w obecności lordów i dygnitarzy państwa, robi kochankowi swemu „scenę zazdrości“, a następnie każe go uwięzić, mówiąc, że nastawał na jej życie, upozorowawszy wprzódy ten mniemany attentat niezręcznym i nieprawdopodobnym figlem.... Gdzież jest lord taki naiwny, któryby po podobnej scenie był czemuś podobnemu uwierzył?... Gdzież jest kobieta tak naiwna, któraby spodziewała się za pomocą „sceny zazdrości“ wpoić w sędziów przekonanie o zamachu morderczym na jej osobę?...

Podobnych scen, podobnych sytuacyj, dziwactw i nieprawdopodobieństw jest więcej. Ale z pomiędzy tej pstrej mięszaniny czeskiego szkła i fałszywych pereł, błyśnie nierzadko czystej wody djament, ognisty brylant, — z dziwacznej plątaniny nieprawdopodobnych lub przesadzonych sytuacyj wysnuwa się nieraz scena eschylowskiej potęgi.... Taką n. p. jest scena końcowa, w której Marja i Joanna, dumna królowa i proste dziewczę, w katuszach niepewności błagają Boga na kolanach za tymi, których ukochały ich serca: „Boże, daj, ażeby to nie był Gilbert!“— „Boże, daj, ażeby to nie był Fabiani!“... Straszne *fatum* jakieś związało je w tej chwili z sobą i uczyniło z nich dwie siostry boleśne, a tem *fatum*: miłość!... Słychać w tem jakby ponure echo starożytnej tragiki!... Ta jedna scena, ta jedna myśl maże wiele win z utworu W. Hugo, któremu, pomimo licznych dziwactw, nie podobna odmówić wyższej, nietuzinkowej wartości. Takim jest W. Hugo, jednem słowem pojedynywa nas z sobą: w chwili jednej na usta widza ciśnie się słowo: szarlatan! to znowu staje on przed nim jako wielki poeta. Ta to właściwość zdobyła mu nazwę: genjalnego barbarzyńcy. Pani Rakiewiczowa mistrzowsko odtworzyła bohaterkę niniejszego dramatu. Królową — była w każdym calu.... Była posągiem z marmuru, pod którego lodowatą piersią wre wulkan namiętności: samolubnej, tygrysiej, niszczącej. Bohaterka W. Hugo: to sfinks z twarzą cherubina i z pazurami pantery.... Jej miłość przeraża, wieje od niej żar lodowaty.... Wysoce poetyczny kon-

trakt z tą postacią wykutą z wypalonej lawy, stanowi Joanna w swej prostocie wieśniaczej, pełnej tkliwego uczucia i kobiecego poświęcenia. Wdzięczną tę postać odtworzyła panna Deryng w sposób nader ujmujący, wysoce artystyczny. Równie chlubnie odegrał p. Woleński Gilberta. P. Kwieciński starannie oddał rolę miękiego, fałszywego Włocha.

Jeden zarzut muszę zrobić pani Rakiewiczowej, a tym jest: deklamacja z jednego i tego samego zawsze nastrojona tonu, w tym samym tonie prowadzona przez całą skalę, co osłabia jej prawdę i naturalność a pozbawia ją tej rozmaitości, która widza zajmuje i uwagę jego przykuwa do słów artysty.... Rozmaitość stroju w deklamacji jest zresztą bardzo rzadkim u artystow przymiotem. Wspaniałym i harmonijnym jest np. łoskot łamiących się fal morskich, ale w końcu jednostajnością swoją nuży i zobojętnia ucho słuchacza. Powodzenie to nasuwa deklamacja pani R. pełna zresztą wspaniałej rytmiczności, polotu i siły. W ogóle tak fizyczne warunki, jak sam talent artystki usposabiają ją bardziej do ról wymagających patetycznej siły, posągowego spokoju lub refleksji, niżeli lirycznego zapału lub delikatnego cieniowania psychologicznego.... Mieliśmy tego dowód najprzód w *Marji Stuart* a następnie w *Dziewicy Orleańskiej*.

Marja Stuart Słowackiego jast postacią pomyślaną nader subtelnie, łączącą w sobie mnóstwo zagadek niewieściej psychologji. Przedewszystkiem jest na wskróś kobietą; kobieta zagłusza w niej królowę Stałość charakteru, kapryśność, kokieterja, zmysłowość w połączeniu z pewnym idealnym, marzycielskim nastrojem — oto główne cechy tego charakteru. Ma męża, którego kochała, a może nawet jeszcze kocha; Rizzia, którego obrała sobie za przedmiot swoich idealnych zachceń, ponurego Bothwela, do którego przylgnęła magnetycznym popędem kontrastu psychologicznego, uwikłana jego wpływem demonicznym, pod którego zaklęciem popełnia zbrodnię mężobójstwa, a popełnia ją w stanie dziwnie pośrednim, pomiędzy pozytywnym zamiarem a obłudnem łudzeniem i oszukiwaniem samej siebie... W tem szczególnie objawia się — cała „kobieta“... słabość i wykrętna etyka bigoterji są kluczem do tej zagadki.. Pani Rakiewiczowa nadała tej nieokreślonej, często kobiecej postaci, zbyt ostre, zbyt wyraziste kontury, przez co po większej części zatarł się delikatny rysunek psychologicznych linij i półcieni. Uwydatniła w niej królowę kosztem „kobiety“, co zdaniem mojem, powinno być odwrotnie.

Bothwela odegrał p. Ładnowski, który, mówiąc słowami poety, „zjawił się do nas jak sen jaki złoty i zniknął...“ mamy nadzieję, że nie na długo. Dziwnie to zagadkowa postać, ten Bothwel: z mózgiem, z sercem Fausta, z żądzami Ryszarda — wątpiący o wszystkiem, przesycony życiem, wypalony do dna niezaspokojonemi żądzami: sławy, wielkości, szczęścia! z piersią pustą i ciemną, jak krater wygasły. Powiada o sobie:

„Nie zniszczyły mię zbrodnie — jest to sytość życia.
Gorące serce wrzało we mnie od powicia. —
Teraz jestem znużony...“

A w tem nagle, dłonią astrologa zaklęta, błysła mu prorocza gwiazda przyszłej wielkości, czczęścia, za którą dotychczas gonił nadaremnie, aż zniechęcony ustał... Przygasłe piekło żądz wybucha w nim na ten raz jeszcze z całą swą mocą. Teraz lub nigdy! Raz zdecydowawszy się na wszystko, ażeby dosięgnąć gwiazdy szczęścia, nie cofa się już odtąd przed niczem. Jak Macbeth zostający pod demonicznem zaklęciem wróżby, popełnia zbrodnię jedną po drugiej, spokojnie, bez żadnej walki wewnętrznej, z zimnym fanatyzmem fatalistycznego przekonania i zaciętością rezygnacji, przygotowanej na wszystko...

„Gwiazdo! (woła) z tobą związane przeznaczenie moje,
Lecz twój blask nadto słabo mej drodze przyświeca!
Może krew na tej drodze... świeć!— krwi się nieboję...“

Istotnie przelewa ją z przerażającą flegmą. Postać tę, tak głęboko psychologicznie pomyślaną, odtworzył p. Ładnowski z mistrzowstwem, ze zrozumieniem godnem uwielbienia. Umiał jej nadać dziwny urok odpychający i przyciągający zarazem. Takiemu Bothwelowi nie mogła oprzeć się słaba, zmienna, nerwowa Marja.

Natomiast w żaden sposób zgodzić się nie mogę na charakter nadany przez p. Edgara małżonkowi Marji, Darnley'owi. P. Edgar zrobił z niego „czarny charakter,“ jęczący grobowo.... podczas gdy właściwie jest to człowiek miękiego mózgu i miękiego serca, dobroduszny i szlachetny, bez żądzy sławy i bez gorącej ambicji, niedorosły do stanowiska, na jakie los go wywyższył, wielki pan i *gentlemen*, lubiący łowy i trzymający sobie błazna dla rozrywki. Radziłbym nawiasem p. Edgarowi popracować trochę nad swoim głosem nieco surowym i sztywnym, starać się nadać mu dźwięk, giętkość i rozmaitość i odzwyczaić się od właściwego mu sposobu kończenia pojedyńczych ustępów w deklamacji, jakimś tonem chrapliwym, przypominającym zgrzyt zardzewiałych wrzeciądzów. — Wdzięczną rolę Nicka odegrał p. Kwieciński starannie, zbytnie jednak podniósł w niej pierwiastek sentymentalny ze szkodą humorystycznego. Koncepta błazna nie miały tej cechy improwizacyjnej, wydawały się z góry obmyślanemi. Role tego rodzaju co Douglas, nie leżą w zakresie talentu p. Zboińskiego, dlatego nie możemy o nią winić artysty; stosowniejszym może byłby do tej roli p. Terenkoczy. Ogółem całe przedstawienie „Marji Stuart“ wypadło starannie.

Nie możemy tego, niestety, powiedzieć o „Dziewicy Orleańskiej.“ Gra p. Rakiewiczowej w roli tytułowej, utwierdziła nas bardziej jeszcze w zdaniu, wypowiedzianem wyżej o istocie talentu tej artystki. Nie nadaje on się do wyrażania uczuć lirycznych, gorącego natchnienia płynącego z serca. Dziewica Orleańska pani R. była istotą refleksyjną, o wyrozumowanym a nie odczutym zapale. Nie było w niej owego natchnienia proroczego, zdolnego porwać i rozpłomienić tłumy i zniewolić je do uwierzenia w cudowną misję bożej wysłanki, ani tego ognia wewnętrznego, który wieszczem drżeniem wydyma pierś dziewiczą... Postępowanie jej zdawało się raczej być wynikiem głębokiej dyplomatycznej rachuby, niżeli bezpośrednim objawem płomiennego popędu i fanatycznego przeświadczenia o boskiem swem powołaniu. Musimy powtórzyć tu zdanie, które raz już wypowiedzieliśmy, że lepiej nie przedstawiać sztuk, których nie podobna przedstawić w całości, przynajmniej nienagannie. Tym sposobem godność sceny nie zostanie nigdy narażoną na szwank...

Na zakończenie niniejszego artykułu musimy zanotować fakt dla teatru naszego tak pomyślny, jakim jest zaangażowanie p. Rychtera. Dramat i wyższa komedja zyskują w nim niepoślednią siłę. Po raz pierwszy wysiąpił p. Rychter w roli Szyloka, w komedji Szekspira „Kupiec Wenecki.“ Żałujemy, że brak miejsca zniewala nas ograniczyć się na samej tylko wzmiance o tym występie. Wkrótce ujrzymy p. Rychtera w „Świętoszku“ Moliera, w „Wujaszku całego świata,“ w roli Łatki w „Dożywociu,“ w których to rolach mieliśmy już sposobność podziwiać go podczas zeszłorocznych jego gościnnych występów.

Michał hr. Dzieduszycki.

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Die erste Theilung Polens von H. v. Sybel, Deutsche Rundschau, Heft I. Berlin, 1874.*)

Smutno to wypowiedzieć, że cudzoziemcy, a do tego po większej części nam nieprzychylni, więcej zajmują się naszemi dziejami, aniżeli my sami. Szczególniej Niemcy mogą nam wyliczyć cały szereg dzieł znakomitych, traktujących o naszej przeszłości, którym pod względem gruntowności własnych przeciwstawić nie możemy. Któryż z naszych historyków wytrzyma porównanie z Röpplem i Caro? Żaden. Smutna to prawda — mimo to jednak pozostanie prawdą. W ostatnich czasach pojawiły się trzy znakomite dzieła napisane przez cudzoziemców, traktujące obszernie o pierwszym rozbiorze naszej ojczyzny. Mamy tu na myśli znakomite dzieło Sołowjewa „Istorja padzienia Polszy,“ Adolfa Beera „Die erste Theilung Polens“ (3 tomy) i studjum Maksa Dunkera „Die Besitzergreifung von Westpreussen“ publikowane w „Zeitschrift für preussische Geschichte.“ Autorowie tych dzieł czerpali bezpośrednio z tajnych archiwów: wiedeńskiego, berlińskiego i petersburgskiego i rozświecili prawie zupełnie całą zawikłaną kwestję pierwszego podziału Polski, ogłaszając odnośne autentyczne dokumenta trzech zaborczych mocarstw. Znany zaszczytnie niemiecki historyk, autor wiekopomnej „Historji rewolucji“ i redaktor znakomitego czasopisma „Historische Zeitschrift“ p. H. Sybel zebrał wyniki trzech wyżej wymienionych autorów w krótką całość, którą zatytułował „Die erste Theilung Polens“. Z pracą tą zamyślamy obznajomić naszych czytelników, sądząc, że najnowsze wyniki źródłowych badań nad smutną epoką naszego politycznego upadku, nie będą dla żadnego z nich obojętnemi. Nie będziemy polemizować z szanownym antorem co do jego zapatrywania, że podział Polski był dziejową koniecznością utrzymania politycznej równowagi; zapatrywanie to bowiem już samo przez się nie wytrzymuje krytyki, a tem mniej nie usprawiedliwia samego faktu; ani też nie będziemy szczegółowo prostować mylnie przedstawionych faktów, minęlibyśmy się bowiem z przeznaczeniem naszej pracy; ograniczymy się tylko na podaniu najnowszych wyników badań nad upadkiem naszego narodu. Przyczyny upadku Polski zostały już wszechstronnie i dostatecznie zbadane, nie będziemy się więc nad niemi zastanawiać; najgłówniejszą według nas przyczyną było to, że Polska żyła zanadto szybko, rozwijała się zanadto gorączkowo i to na idealnych, a nie praktycznych zasadach, przez co stała się wkrótce anomalją między europejskiemi narodami i jako taka nie wytrzymała walki z ościennemi państwami, rozwiniętemi na zupełnie odmiennych podstawach. Przystępujemy do samego faktu rozbioru Polski.

Już w r. 1657 zanosiło się na rozbiór: Liflandję zabrała Szwecja, Małaruś przeszła pod panowanie Rossji, Kurfirszt Wilhelm Brandenburski zerwał stosunek lenniczy, w którym do Polski zostawał. Że w owym czasie Polski nie rozebrano, zawdzięczać mamy tylko tej okoliczności, że Rossja była już wówczas zbyt silną i nie chciała się zdobyczą dzielić z innemi mocarstwami, mając nadzieję, że kiedyś sama całą Polskę posiędzie. Podczas wielkiej wojny północnej przeciw Karolowi XII. utrzymał się August II. na polskim tronie tylko za pomocą siły zbrojnej Moskali, a w r. 1736 nowy król, August III. zawdzięczał swoje wyniesienie na tron Jagiellonów moskiewskim bagnetem. Odtąd faktycznie w Polsce panowali Moskale, a ministrowie rossyjscy nie bez słuszności głosili zdanie, iż Europa już jest przyzwyczajoną do tego, że rząd petersburgski kieruje rządem polskim. Takie bylo położenie rzeczy w Polsce przy wstąpieniu na tron Katarzyny II. Każdemu wiadomo, jak ambitną była ta kobieta; chciała ona wywierać wpływ przeważny na obie półkule ziemskie. Od zachodnej Europy oddzielała Rossję Polska, nie dziw przeto, że kwestja Polska zaprzątała zaraz na początku panowania jej umysł. Najradykalniejszem zawiązaniem tej kwestji byłby zabór Polski. Ale czyby na to pozwoliły ościenne mocarstwa? Obrała więc inną drogę, postanowiła nie naruszać całości Rzeczypospolitej, tylko krok za krokiem czynić Polskę coraz bardziej od siebie zawisłą i używać jej do swoich politycznych celów. Że Katarzyna przy wstąpieniu na tron nie myślała wcale o rozbiorze Polski, poświadczają to sprawozdania posłów austrjackiego i pruskiego, które p. Beer ogłosił. Ażeby otrzymać o Polsce dotychczasową anarchję szlachecką i aby nie dopuścić do tronu jakiego księcia z panującego domu, któryby przez swoje stosunki zdołał kraj podźwignąć, popiera Katarzyna kandydaturę Piasta, a w r. 1764 dawny kochanek rozpustnej carycy, Stanisław Poniatowski, zostaje królem polskim. Ciekawą jest rzeczą, jak się w obec tego wyboru i absolutnego panowania Katarzyny w Polsce, jakby w podbitym już kraju, zachowały Prusy i Austrja. Jeszcze w r. 1763 z powodu sztucznie przez Katarzynę wywołanych prześladowań dysydentów w Polsce (p. Sybel uderza w tem miejscu niesłusznie na nietolerancję Polaków) wystosowała caryca noty do Wiednia i Berlina — co do zachowania się w obec Polski. W Wiedniu przyjęto propozycje rossyjskie bardzo zimno i odpowiedziano na nie wymijająco, wiadomo bowiem, że po śmierci Piotra III. Austrja była bardzo źle waględem Rossji usposobioną, i że bogobojna cesarzowa Marja Teresa miała pewną religijną sympatję dla katolickiej Polski. Jedynie obawa przed Rossją nie dozwoliła cesarzowej Austrjackiej wystąpić wbrew Rossji z kandydaturą książęcia saskiego na tron Polski.

(C. d. n.)

Korespondencja „Tygodnia."

Listy z Warszawy.

II.

(Dokończenie.)

Warszawa 3. Października 1874.

Przelotnie tylko mogę zaznaczyć wyroby przemysłu domowego (konfitury, konserwy, masło, ser, smoła, dziegieć i fabryczny ocet, piwo wraz z uprawą chmielu), gdyż każde dłuższe zatrzymanie się przed pojedyńczemi szafami i stołami groziłoby mi kilkuarkuszową pisaniną; nie mogę jednak, zanim przejdę do bydła, w ogóle zwierząt domowych, pominąć milczeniem tego ważnego faktu, że przed ślicznemi konserwami Bouquerella, Bocqueta i Stępkowskiego najwięcej tłoczyło się wąsatych fizyjognomij, które grzeszyły niecierpliwością, patrząc na grube i białe... szparagi *au naturel*. Zdrowe polskie żołądki aż uśmiechały się na tak łechcący widok a wyobraźnia, uiluminowana wspomnieniami, cały świat malowała... na biało.

Bodajto! Na wspomnienie szparagów i mnie zaczyna iść ślinka. — czemprędzej więc zawróćmy na lewo i przypatrzmy się przedmiotom mniej ponętnym, a więcej pożytecznym. Oto przed nami cały szereg, uczciwszy uszy, „nierogatych" młodych i starych, a spasionych, a tłustych a białych, że aż tradycyjny wstręt mimowoli nas opuszcza. Jeden to wprawdzie gatunek; ale jest się czemu przypatrzeć i gdyby na nas nie czekały buhaje ogromne i krowy, dające przecięciowo 16 kwart mleka, dłużejbyśmy przyglądali się pulchnym jorkszyrom. Holendry i Szwajcary stoją rzędem, dumnie spoglądając w oczy widzom, jakby się z nich natrząsając, że w Polsce ród krowi wtedy tylko jest znamienity, jeżeli się za granicą wychowa i ogładzi. Chcielibyśmy zażegnać to upokorzenie, zwracając się do szlachetnych koni i potulnych baranków: aleź i tu widzimy tylko arabów, węgrów albo negrettich. Piękne-to okazy, tylko że nie nasze. Zaledwie kilka sztuk koni reprezentuje polską rasę, reszta należy do zagranicy, tak jak i wszystkie owce.... Pocieszmy się przynajmniej tą myślą, że nie odrazu Kraków zbudowano i że druga Wystawa Warszawska nie jest jeszcze ostatnią! Być może, że kiedyś i w tej gałęzi gospodarstwa domowego poszczycić się będziemy mogli czemś własnem.

Ptactwo domowe znajdowało swą reprezentację w nielicznych ale pięknych osobnikach, z których najważniejsze mieściły się w pawilonie hr. Ludwika Krasińskiego, który stanowił całość w sobie zamkniętą, jedną z najponętniejszych, jakieśmy na wystawie widzieli. Wesoła rzeczpospolita pszczół posiadała swoje domki, a spółka jedwabnicza wystawiła okazy zarówno rozwoju swoich arystokratycznych poczwarek, jak i wszelkich przeróbek, które z ich pracy uczynić się dadzą. Miało to być zachętą do zajęcia się hodowaniem jedwabników, i obrazem dotychczasowych rezultatów przez spółkę osiągniętych. Pierwszy cel może i został osiągnięty, rozumie się w zakresie słów nie czynów: drugi zaś naprowadzał na myśl opłakany stan spółki, która o mało co przed miesiącem nie rozwiązała się i której istnienie jest silnie podkopane.

Jeżeli do powyższych działów dodamy, mniej z wystawą „rolniczą" mające związku, grupy wyrobów szewskich, szczotkarskich, bednarskich, maszyn do szycia i robienia pończoch, odlewów bronzowych, pieców hermetycznych, powozów itp. wytworów przemysłu i rękodzieł: to będziemy mieli zupełny obraz ogólnego zarysu wystawy warszawskiej, na którą składało się blisko 800 wystawców i kilkanaście tysięcy okazów. Samo zewnętrzne urządzenie było skromne wprawdzie ale nader gustowne. Trawniki małym kosztem urządzone, gdyż plac Ujazdowski pokryty był murawą a poprzerzynane chodnikami, jędrną zielenią przyjemnie na zmysł wzroku działały, orzeźwiając jego siły, długiem patrzeniem zmęczone. Fontanna na środku placu paszczami trytonów rozlewała chłód naokoło a domek asfaltowy z werandą na dachu zapraszał strudzonych do odpoczynku. Pięknie przyozdobiony pawilon „komitetu wystawy" i hr. Krasińskiego należały już do zbytkownych. Tłumy odwiedzających od 15. do 25. września napełniały wszystkie oddziały; niedziela zwłaszcza, w której cena wejścia obniżoną została, zgromadziła tak niepraktykowaną liczbę gości, że od r. 1861 nigdy w Warszawie nie zeszło się na jednem miejscu tyle tysięcy. O godzinie szóstej dnia tego (była to pora zamknięcia wystawy) wszystkie arterje rozprowadzające ludność z placu Ujazdowskiego do środka Warszawy, były kompletnie zapchane. A przez całe 10 dni tylko uprzywilejowani wybrańcy fortuny mogli używać jednego z siedmiuset lokomocyjnych przyrządów, dwoma pegazami ciągnionych. Zarówno warszawiacy, jak i przybyli z prowincji, dnie te do nadzwyczajnych świąt policzywszy, obchodzili je zwiedzaniem wystawy i tłumnem uczęszczaniem na wszystkie przedstawienia, jakie spółcześnie w syrenim grodzie miały miejsce. A przedstawień tych było poddostatkiem. Teatrzyki bowiem ogródkowe wyjednały sobie u rządu przedłużenie terminu do 1. października; a prócz nich i obu teatrów stałych, zjechała na ten czas trupa francuskich aktorów i aktorek, którzy i które talenta swe i wdzięki w Dolinie Szwajcarskiej produkowali. Zabawy więc wyścigały jedna drugą: nie słychać jednak, ażeby się dopuszczano zbyt wielkich wybryków; co więcej, trupa francuska (*horror!*) niezbyt licznych miewała widzów i słuchaczów. Wprawdzie złośliwi powiadają, że przyczyną tego budującego zjawiska był 1. brak kankana, który z warszawskich scen zupełnie usunięto, a tej proskrypcji i trupa francuska poddać się musiała: 2. brak stosownej dozy „tłuszczu" w słowach i uczynkach, który niegdyś do Eldorado tłumy niedorosłej i przerosłej młodzieży zgromadzał. Ale to są zapewne plotki i nic więcej... Ja sądzę, że w powstrzymaniu się od licznego uczęszczania na francuskie przedstawienia, widzieć należy objaw rozumnego poparcia sceny narodowej. Możebym nie był przyszedł do tego przekonania, gdybym nie widział i nie słyszał 90 do 100 ludzi pilnie przysłuchujących się rozprawom o zadrzewianiu, eksploatacji torfu, pszczelnictwie, uprawie roślin pastewnych i tym podobnych przedmiotach, które wchodziły do programu „Konferencji rolniczych," w dniach 22 do 26 września odbytych. A i ci ludzie nie byli niemymi tylko słuchaczami, owszem sami nieraz głos zabierali i z równą powagą jak skromnością przekładali zgromadzeniu owoc swoich spostrzeżeń. A zatem, pomyślałem sobie, nie tylko „homary" naturalne i sceniczne zdolne są obudzić żywszy ruch w umyśle naszego społeczeństwa!... Na początku było 100 ludzi, później może będzie 200 i 300.

Gdym tak był rozradowany dodatnim zwrotem wśród „wystawowego" społeczeństwa, doszła mię wiadomość, że „Wystawa warszawska" przyniosła dla naszego miasta bezpośrednią i namacalną korzyść. Oto na objedzie wydanym przez komitet wystawy, dla uczczenia „zasług" Jaśnie Oświeconego jenerał-gubernatora Kotzebue i innych figur urzędowych, przeszedł ze sfery marzeń w sferę rzeczywistości projekt muzeum rolniczo-przemysłowego, od lat kilku już ułożony, a napróżno potwierdzenia władzy oczekujący. Dzięki staraniom kilku osób, które sprawę tę wzięły do serca, sfery urzędowe zostały przekonane o potrzebie i konieczności takiego muzeum, chociaż przed kilku miesiącami widzieć tego jakoś nie mogły. Teraz więc można już napewno mówić o muzeum. Niektórzy wystawcy pośpieszyli zaraz złożyć niektóre ze swoich okazów, inni złożyli piśmienne na to deklaracje. Widziałem już zbiór kilkudziesięciu modelów, przedstawiających w zmniejszeniu starożytne i spółczesne narzędzia rolnicze. Myśl i projekt do muzeum zawdzięczamy gorliwemu działaczowi w dziedzinie oświaty i ekonomicznego krzątania się, p. Aleksandrowi Makowieckiemu, który już niejedno pożyteczne ziarno zasiał wśród naszego społeczeństwa, chociaż niektórym tylko powschodzić się udało.

Żeby daleko nie sięgać, dość będzie wspomnieć o poruszonej przez p. Makowieckiego kwestji „Resursy rzemieślniczej," której projekt obszedł już wszystkie urzędowe instancje i doczekał się... odpowiedzi odmownej. P. M. nie traci jednak nadziei i za kilka miesięcy wygotuje i przeszle, gdzie należy, nowy projekt; urządzenie bowiem ogniska, w któremby rzemieślnicy i w ogóle klasa średnia mogła lepiej czas przepędzać, niż w bawarjach i w tak zwanych „salach" mocno mu leży na sercu. Zanim jednak będzie można o to się postarać, p. M. myśli teraz o wznowieniu „odczytów rzemieślniczych, dziesięciogroszowych," które w dwu poprzednich latach wobec licznie zgromadzonego audytorjum dość pomyślnie się rozwijały, jakkolwiek zależne były od humoru prelegentów i musiały walczyć z brakiem odpowiedniej sali. Prelegenci czytali swe odczyty całkiem honorowo, a salę trzeba było zdobywać. Prelegenci i słuchacze wędrowali co niedzieli z jednego gmachu do drugiego, aż wreszcie umieścili się w drewnianym teatrzyku a raczej cyrku, w którym niekiedy spółcześnie prelegenci objaśniali budowę świata i stosunków społecznych, a ryk osła lub wrzask dzikiego Indjanina im akompaniował... Dziś nawet tej drewnianej szopy nie znaleść, gdyż ją rozwalono, pobudowawszy na ich miejsce ładne murowane gmachy, w których jednak nie ma miejsca dla odczytów. P. Makowiecki myślał o wystawieniu osobnej sali, umyślnie na te odczyty przeznaczonej; ale wysoki rząd „raczył uznać za rzecz niezbędną odmówienie pozwolenia na ten projekt" — jak opiewa piśmienna odpowiedź dana panu M-u. Trzeba więc będzie tułać się znowu. Dobrze przynajmniej, że znajdują się chętni prelegenci, którzy nie wahają się poświęcić jedną lub kilka godzin czasu dla oświaty młodszych swych braci. Ponieważ jest to najświeższa nowość z naszego miasta, muszę wymienić nazwiska prelegentów, którzy dotychczas przyrzekli swój udział w popularnych odczytach. Alfabetycznie je zebrawszy, otrzymamy następującą listę: Dr. Piotr Chmielowski, Aleksander Głowacki, Stanisław Kramsztyk, Napoleon Milicer, Aleks. Makowiecki, Dr. Juljan Ochorowicz, Suligowski, Adam Wiślicki. Oprócz tych spodziewana jest pomoc kilku innych, którzy już i lat przeszłych trud swój dla dobra ogółu poświęcali. Kto sobie przypomni, że szkoły niedzielne w Warszawie i kilku większych miastach są tylko ironją szkół rzemieślniczych, ten zdoła ocenić, jakie znaczenie dla publiki warstatowej mają odczyty zastosowane do ich pojęcia i poruszające kwestje z ich życiem związane. Wprawdzie i w wyborze przedmiotów nie rozstrzygają prelegenci, lecz komitet cenzury, lękający się narodowości i widma komuny: ale cóż na to poradzić?...

Obraz życia warszawskiego podczas wystawy i w kilka dni po niej byłby niezupełny, gdybym zamilczał o środkach zabawy. Oprócz już wspomnianych teatrów, z których rządowe dały nawet w tych czasach dwie molierowskie sztuki: „Sganarela" i „Świętoszka," uszy mogły się poić koncertami, a oczy — menażerją. Koncerty urządzali: pani Moniuszkowa, która musiała dopłacić z własnej kieszeni za roskosz artystyczną nielicznym słuchaczom sprawioną, p. Frieman, który mało co lepiej wyszedł na swym kunszcie i wreszcie orkiestra damska, pod dyrektorstwem także damskiem, która niewybrednym amatorom otwarła „bezpłatne" t. j. w ciągu samego koncertu opłacane wejście do ogródka Tivoli. Ta ostatnia orkiestra jest jak na Warszawę wcale oryginalnem zjawiskiem... przedstawia ono emancypacje *in actu* z akompanjamentem fortepianu, wiolonczeli, skrzypiec i kilku innych instrumentów muzycznych. Gdyby talent owych damskich artystek wyrównywał ich żądzy zebrania dziesiątek, możeby Warszawa prędzej się nawróciła do zasad emancypacji, aniżeli pod wpływem broszur, książek i odczytów. Niestety jednak, kto był na koncercie przez nie dawanym, przypomniał zapewne sobie nieskładne dźwięki obecnych mieszkańców „Nowej Szwajcarji," gdzie lew, hijena i koza, na skinienie czarodziejskiej laski pogromcy zwierząt, pokazują ciekawym i swoją zewnętrzność i głos wewnętrznego przekonania.... Dwa te okazy — koncert damski i menażerja — mają jednakże silnego spółzawodnika, który szczyczący się pobytem w pierwszorzędnych stolicach starego i nowego świata (zapewne w Kötschenbroda i Grimma), przyszedł zdumiewać pomysłowością swoją i... Paryż północny.

I któż jest tym szczęśliwym spółzawodnikiem? — Wystawca tresowanych.... pcheł.

P. Wieniawa.

Ze świata naukowego.

Podróże do nowej Gwinei

z trzech lat ostatnich.

Podług najnowszych sprawozdań zestawił

L. Tatomir.

(Dokończenie.)

„Nazajutrz stanęliśmy na grzbiecie góry 3.600 stóp wysokim, gdzie poraz pierwszy widziałem wspaniałego latawca czarnego (*Lophorina atra*). Ztąd też zobaczyłem w zachodniej stronie

Atam, które przedzielała od nas głęboka, przepaścista dolina. Ku północy i północnemu zachodowi ścieliła się rozległa równina gęsto zaleśniona, od południa zaś zamykały widnokrąg wyniosłe grzbiety i cypliska, jak mi się zdaje centralnej grupy gór Arfak. Schodząc nadzwyczajnie stromą i kamienistą ścieżką w dolinę, zazdrościłem moim Papuasom zadziwiającej prawdziwie pewności kroku, siły muskułów i takiej zwinności w nogach, jaką my tylko w rękach posiadamy. W wąwozie, około 900 stóp głębokim, płynie tą doliną rzeka Parafi i spadając w kaskadach po 100 stóp wysokich z górskich upłazów, uchodzi ztąd do zatoki Geelvink. Przeprawiwszy się na drugi brzeg, wspinaliśmy się znowu na górę posępnym lasem, podszytym gęstemi zaroślami drzewiastych paproci i pooranym głębokiemi żłobami górskich strumieni, aż wreszcie około 3 godziny popołudniu dobiliśmy się szczęśliwie do pierwszych domów wsi Atam, 3.500 stóp nad powierzchnią morza położonej.

Rozłożywszy się obozem w pobliżu wsi, robiłem wycieczki w sąsiednie okolice i zaraz pierwszego dnia zastrzeliłem oprócz latawca czarnego, prześliczny okaz latawca sześciowitkowego (*Parotia sexpennis*), który dotąd znany był naturalistom z jednego tylko i to uszkodzonego egzemplarza i o którego sposobie życia nic nie wiedziano. Radość moja była nie do opisania! Zdjąłem niezwłocznie skórę z tych rzadkich ptaków, zachwycających metalicznym blaskiem i jaskrawemi barwami swego upierzenia, a mięso kazałem upiec, aby się przekonać, czy ptaki te równie są smaczne, jak piękne. Zaledwie spożyłem kilka kąsków, używając podwójnej roskoszy: roskoszy naturalisty zbieracza, który z narażeniem życia zdobył rzadki, niewidziany w muzeach zooligicznych okaz, i roskoszy smakosza, który odkrył nową wyborną, nieznaną największym znakomitościom gastronomicznym zwierzynę — gdy mi przerwał moją ucztę *korano*, przychodząc do mnie w towarzystwie około dwudziestu od głowy do stóp uzbrojonych mężczyzn, i otoczony nadto liczną czeredą kobiet i dzieci. Wszyscy postrojeni w naszyjniki i branzolety z muszel i upstrzeni takiem mnóstwem różnokolorowych kwiatów, powtykanych kiściami we włosy, zwisających w splotach z poza uszów, a nawet owiniętych wieńcami około pasa i ramion, że wyglądali iście jak okwitłe bujnie krzaki. Dwudziestopięcioletni syn naczelnika i jego dwudziestoletnia córka byli albinosami o białej skórze i włosach, o jasnoniebieskich oczach, i przypominali mi w swoim prostym stroju narodowym, obrazki Adama i Ewy. Sam *korano* zaś, słuszny i silnie zbudowany mężczyna, z surowym wyrazem oblicza, wyglądał jak staro-rzymski cesarz. Powitał on mię uprzejmnie, złożył mi mały podarunek z owoców i tytoniu i prosił mię, żebym go odwiedził.

Zachęcony tak nadspodziewanie uprzejmem przyjęciem i tak pomyślnym skutkiem moich pierwszych ekskursyj zoologicznych, postanowiłem pozostać dłużej w Atam i zbadać dokładnie jego górskie okolice. W tym celu nająłem sobie nową, niedokończoną nawet jeszcze chałupę za 4 metry niebieskiego perkalu i 4 mosiężne branzolety, i d. 11 września wywiesiłem na niej flagę włoską. Była-to pierwsza flaga europejska, powiewająca we wnętrzu tej wyspy. Odprawiłem też ludzi, którzy przybyli ze mną z Andai, i napisałem list do dr. Beccari, prosząc żeby mi przysłał świeże zapasy, gdyż te, które przyniosłem ze sobą, już się wyczerpały. Papuasi przychodzili bowiem gromadnie odwiedzać mię, albo raczej oglądać, i przynosili mi mączne korzenie jams, kukurydzę, tytoń, za co musiałem się im odwdzięczać mosiężnemi branzoletami i sznurkami szklannych pereł weneckich. Tych ostatnich szczególnie potrzebowałem bardzo wiele, gdyż tą monetą szklanną, jedyną jaka w tym kraju kursuje, płaciłem kobiety i dzieci, które mi zbierały owady i inne drobne zwierzątka. Skarb mój zmniejszał się więc szybko, a przy tem i moje zapasy żywności szczupłały coraz bardziej. Mógłbym był wprawdzie, oprócz korzenia jams, żywić się zdobyczą myśliwską, ale niestety amunicja, jaką jeszcze miałem, wystarczała mi tylko na strzelanie ptaków dla pomnożenia zbioru ornitologicznego, ale nie na zaopatrywanie stołu w zwierzynę. Oczekiwałem tedy z niecierpliwością transportu z Andai, gdy w tem zaszły wypadki, które zniweczyły wszystkie moje plany.

Dnia 20 września przybyło kilku Papuasów z wiadomością, że ludzie z pokolenia Arfak z Andai zabili człowieka z Dorei, a że z tego powodu zanosiło się na krwawy odwet, wzywał mię dr. Beccari, żebym niezwłocznie do Andai powracał. Zachowywanie się mieszkańców Atam względem mnie zmieniło się też zaraz widocznie: kobiety i dzieci nie znosiły mi już owadów, a moi sąsiedzi nie chcieli mi sprzedawać ani jams, ani kukurydzy, i ujrzałem się zagrożonym głodem. W nocy słyszałem dzikie krzyki i dowiedziałem się, że tym piekielnym wrzaskiem odpędzano ducha zamordowanego i szatana. We dwa dni potem oznajmił mi *korano*, że obawiając się napadu, postanowili opuścić osadę, i ofiarował mi się wystarać o potrzebnych tragarzów, gdybym chciał z nimi udać się do Andai. Widząc, że zaczynają już niszczyć plantacje, a nie mając więcej nad 50 nabojów, i przy tem żadnej żywności, przyrzekłem, że za pięć dni gotów jestem pójść z nimi do Andai. Wszelako już nazajutrz, powróciwszy z lasu, zastałem całą ludność w nadzwyczajnem wzburzeniu, gdyż spostrzeżono w pobliżu kilku Papuasów z nieprzyjacielskiego pokolenia. Mężczyźni i kobiety, wszystko co żyło latało i wrzeszczało jak opętane, wiwijając bronią i wyprawiając istne łamane sztuki. Udało mi się jednak podstępem uciszyć tę ogłuszającą wrzawę. Zamknąwszy się w moim domu, zrobiłem sześć ostrych nabojów, dodając do każdego trochę stopionej tłustości i po kilka kropel z mojej apteczki podróżnej. Robiłem to wszystko z nadzwyczajną powagą, powoli i w milczeniu, w przytomności mojego tłumacza malajskiego, który śledził ze zdziwieniem każdy mój ruch. Potem nabiłem strzelbę i położyłem się najspokojniej na podróżnem posłaniu. Jak przewidywałem, opowiedział Malajczyk zaraz Papuasom co zrobiłem, a ci byli święcie przekonani, że zatrułem naboje taką straszną trucizną, iż samym dymem, rozchodzącym się po wystrzale w powietrzu, będę mógł kilkunastu ludzi odrazu zabijać. Powróciwszy niebawem opowiedział mi to mój Malajczyk i pytał mię czy tak jest istotnie. Chcąc jego i Papuasów utwierdzić w tem przekonaniu, odpowiedziałem stanowczo, że nie. Jest-to bowiem właściwością charakteru tutejszych krajowców, że żadnym słowom nie wierzą i owszem każde zapewnienie wręcz przeciwnie sobie tłumaczą, biorąc przeczącą odpowiedź za potwierdzającą i odwrotnie. Wkrótce potem była cała osada zupełnie spokojną, i uzyskałem dwa dni czasu na uzupełnienie moich zbiorów i uporządkowanie pakunków.

Dnia 29 września wyruszyliśmy z miejsca wielkim i gwarnym taborem, złożonym z 40 osób, z mnóstwa małych psów i z całej trzody świń i prosiąt, z których najmniejsze, przeraźliwie kwiczące, niosły kobiety w *nokinach* na plecach. Na czele całej tej rzeszy wędrownej szedł *korano*, trzymając rozwiniętą flagę włoską. Ja postępowałem tuż za nim, a zdrowe powietrze górskie tak było pokrzepiło moje siły, że pomimo przebytej niedawno febry dotrzymywałem dzielnie kroku temu szybkonogiemu synowi dziewiczych lasów Nowej Gwinei. Minąwszy górę Putat, założyliśmy nocne koczowisko na krańcu lasu. Nie mogłem nigdy nasycić się widokiem tych lasów nowogwinejskich, nad które nie wiem czy jest co majestatyczniejszego na świecie. Kolosy po 180 stóp wysokie wznosiły przedemną w obłoki dumne czoła, a pnie ich, oplecione tysiącami wijących się roślin, tworzyły jakoby olbrzymią ścianę z gałęzi, prętów, liści i kwiatów, która teraz, jak zawsze tutaj na schyłku dnia, roiła się stadami różnobarwnego ptactwa i rozbrzmiewała jego spiewem i świegotem. Nagle utonęło słońce w tem morzu roślin i odrazu okryła ciemność ziemię. Błysnęły ognie i rzuciły jaskrawe światło na rozłożone około nich fantastyczne grupy ludzi i zwierząt. Ptactwo umilkło, ale po lesie roznosiły echa dzikie, przeciągłe spiewy Papuasów, w których tak nagłe opuszczenie rodzinnej osady i koczownicza włóczęga nie wywoływały bynajmniej tęsknoty i smutku. Owszem na wszystkich twarzach malowała się wesołość. Widocznie nic tym ludziom nie brakowało do szczęścia — pieczona kukurydza wystarczała im na zaspokojenie głodu, strop niebieski zastępował domową strzechę, a ziemia posłanie. Powoli zaległa dokoła głucha cisza, którą mąciły tylko od czasu do czasu urywane głosy nocnych ptaków. Od ognisk, na których żarzyły się już tylko dogorywające głownie, słychać było regularny oddech ujętych twardym, zdrowym snem Papuasów, a w powietrzu szeleściały zlekka skrzydła niedoperzów, ścigających moskitosów roje.

Dnia 1 października byłem już z powrotem z Andai".

Podróże Maclaya i Albertisa zmieniły znacznie dotychczasowe wyobrażenia o Nowej Gwinei, a szczególnie o jej mieszkańcach, których dawniejsi podróżnicy jako okrutnych ludożerców osławili. Są Papuasi skłonniejsi do mordów, niż Malaje albo Polinezyjczycy, i niedawno jeszcze padło ofiarą ich dzikości ośmnastu majtków niemieckich; ale na ich uniewinnienie trzeba powiedzieć, że okrucieństwa, jakich się dopuszczają na Europejczykach, są częstokroć wywarciem zemsty, gdyż załogi okrętów europejskich, zarzucających kotwicę u ich wybrzeży, nie przestrzegają zazwyczaj zbyt ściśle prawa własności i rabują bez miłosierdzia ich plantacje. Przykład dwóch ostatnich podróżników przekonywa jednakże, że roztropnem postępowaniem można ich sobie ująć i robić wycieczki naukowe po ich kraju, nie wystawiając się na większe niebezpieczeństwa nad te, na które, narażają podróże po środkowej Afryce, lub po dziewiczach lasach Ameryki.

Arfaki — jak ich opisuje d'Albertis — są najprzystępniejsi i najcywilizowańsi, ze wszystkich znanych dotąd górskich pokoleń papuańskich, co przypisać należy zbawiennemu wpływowi, który na nich wywierają, misyonarze holenderscy.

Przechowują oni wprawdzie jeszcze zawsze czaszki pomordowanych wrogów, jako trofea zwycięstwa, ale nie są ludożercami. Nie mają, po-

dobnie ja ich sąsiedzi z Dorei i Mansinam, żadnego pojęcia o bóstwie i wierzą tytko w szatana, którego nazwę *setan* przyjęli od Malajów, i w pośmiertny żywot duszy, który wyobrażają sobie podobnie, jak nasz lud nieoświecony, upiory. Nieboszczyków swoich grzebią w pobliżu domów, składają na ich grobach broń, której za życia używali, i przynoszą przez dwa miesiące co drugi dzień świeże jedzenie i trochę tytoniu. Po upływie tego czasu opuszczają dom, który śmierć nawiedziła, niszczą plantacje i wynoszą się wyżej w górę, gdzie sobie budują nowy dom i zakładają nową plantację. Ludzie tego pokolenia odznaczają się ruchliwością i są w ogóle pracowitsi, niż Papuasi z równin i sąsiednich wysp, co zdaje się ztąd pochodzi, że ostrzejszy klimat ich gór, zmusza ich do troskliwszej uprawy pola, podczas kiedy w gorących równinach płodna niezmiernie ziemia zaopatruje bez pracy prawie wszystkie potrzeby mieszkańców. Oprócz tego co zasiewają i sadzą w swoich plantacjach, służą im za pożywienie także niektóre dziko rosnące rośliny i pewien gatunek wielkich wężów, które uchodzą za największy przysmak. Dla siebie nawzajem są Arfaki bardzo uczynni i zdolni nawet do poświęceń, a kłótnie nie zdarzają się pomiędzy mieszkańcami jednej osady prawie nigdy. Domy ich, zazwyczaj bardzo wielkie, zamieszkuje po kilka, a nawet kilkanaście rodzin, żyjąc razem w najlepszej zgodzie. Każda rodzina ma własne ognisko, przy którem przepędza większą część dnia, jeżeli nie ma jakiej roboty za domem. W pożyciu domowem przestrzegają surowo obyczajności; kobiety zajmują lewe, mężczyźni prawe skrzydło domu i nie jadają nigdy razem z kobietnmi; dzieci, które rodzice najtroskliwszą otaczają miłością, ubierają już taksamo jak dorosłych, skoro tylko biegać zaczną. Obok każdego wielkiego domu znajduje się osobny mniejszy domek, przeznaczony dla kobiet przebywających słabość, podczas której bywają z wszelkiem staraniem pielęgnowane i otrzymują liczne podarunki od przyjaciół i krewnych. Poligamja jest wprawdzie pozwoloną, ale żona tak drogo kosztuje, że mało który mąż więcej ma żon, niż jednę. Wsie ich są liczne, ale nie ludne. Prawie każda wieś ma własny dyalekt, a dyalekta te tak bywają odmienne, że częstokroć mieszkańcy jednej wsi nie rozumieją wcale języka swoich najbliższych sąsiadów. Związki małżeńskie pomiędzy ludźmi z różnych osad są bardzo rzadkie, a ztąd wyrobiła się i utrzymuje niezatarta w ich pokoleniach wielka rozmaitość wybitnych typów miejscowych.

W pół roku po obu włoskich naturalistach, zawitał do Nowej Gwinei czwarty z kolei w tych kilku latach ostatnich badacz, znany z dawniejszych podróży swoich po południowej i środkowej Ameryce, Niemiec, dr. Majer. Podróżując od r. 1870 w celach naukowych po wyspach archipelagu australsko-azjatyckiego, po Celebes, Filipinach i Borneo, przybył on w początkach marca 1873 do portu Dorei. Ztąd opłynął wyspy w północnej stronie zatoki Geelvink położone, zwiedził wschodnie i południowe tejże wybrzeża, przeszedł ląd Nowej Gwinei w miejscu, gdzie zatoka Gleevink i naprzeciwległa, głęboko wkrojona zatoka Mac Cluer ścieśnia ją w wąskie międzymorze, poczem powróciwszy do Dorei, udał się do Andai, a ztamtąd w góry Arfak, któremi doszedł aż do wysokości 6.000 stóp.

Dr. Majer mniej ponętny tej górskiej krainy i jej mieszkańców kreśli obraz. Dokuczało mu ciągle zimno i wilgoć. W gęstych lasach dziewiczych dniało dopiero o 7 godzinie, a o 10 już znowu tonęło wszystko w kłębach mgły i lały deszcze tropikowe; od świtu już bowiem ściągały się chmury nad szczytami gór i miał codziennie zaledwie kilka godzin pogody, pomimo, że była to właśnie pora suszy. Jego malajscy przewodnicy wszyscy się pochorowali, a krajowcy okazywali mu największą nieprzychylność, tak, że nie czuł się nawet pewnym życia pomiędzy nimi. Majer zauważał także wielką rozmaitość odcieni w barwie skóry różnych pokoleń papuańskich, ale pomimo tego utrzymuje, że wszyscy ci wyspiarze należą do jednego szczepu. Twierdzenie to Majera zbijają jednakże stanowczo spostrzeżenia porobione przez Anglików na południowo wschodnich wybrzeżach Nowej Gwinei.

Wybrzeża te zwiedzili Murray i Macfarlane, wysłani w r. 1871 przez londyńskie towarzystwo misyjne w celu założenia tam kilku stacyj misyjnych. W r. 1872 zawinął Murray do zatoki Redscar, zkąd towarzysz jego Gill i kapitan Websdale zapuścili się w głąb kraju, wielką, miejscami do 3 mil angielskich szeroką rzeką Manumanu, która uchodzi do tej zatoki, a poczyna się w górach Oven Stanlej, spiętrzających wschodnio południowy krawędź Nowej Gwinei i tworzących długi półwysep, zakończony wyniosłym przylądkiem Wschodnim. Zaraz za pierwszym zakrętem rzeki ujrzeli oni w gaju wspaniałych palm kokosowych wielką wieś, złożoną z domów zbudowanych na palach. Mieszkańcy tej wsi uderzyli ich odmienną od innych Papuasów barwą i mniejszym wzrostem. Dalsze badania, zestawione z tem co wiemy o wyspiarzach nowo gwinejskich z innych okolic tej wyspy, przekonały ich, że cokolwiek na zachód od rzeki Manumanu sąsiadują ze sobą dwie różniące się barwą, jezykiem i zwyczajami rasy papuańskie. Północno-zachodnie wybrzeża zamieszkuje rasa czarna, podobna do murzynów afrykańskich, wschodnio południowe zaś mniej dorodna rasa brunatna, zbliżona więcej do Malajów.

Najważniejszem odkryciem zasłużyła się geografji piąta i ostatnia dotąd z tych najnowszych podróży do Papuazji, którą odbył na angielskim statku wojennym „Basilisk“ kapitan Moresby.

W kilka miesięcy po Murraju, w lutym roku 1873, przybył on do zatoki Redscar i opłynął ztąd wybrzeża południowo-wschodniej kończyny Nowej Gwinei od przylądka Wschodniego aż po wyspę, której nadał swoje nazwisko. Obliczając najściślej położenie geograficzne różnych punktów i robiąc jak najdokładniejsze zdjęcia, przekonał się Moresby, że południowy koniec stałego lądu tej wyspy wysuwano dotąd blisko o 40 mil angielskich dalej ku zachodowi, niż on istotnie sięga i że to, co miano za wypukły w kształcie półwyspu jej tułów jest w rzeczywistości archipelagiem, złożonym z kilku większych i wielu drobnych górzystych wysp. Odkrycie to kapitana Moresby zmieniło do niepoznania konfigurację wybrzeży tej części Nowej Gwinei i zadało fałsz wszystkim dotychczasowym jej mapom, opierającym się na dawniejszych szkicach, zdjętych przez D'. Entrecasteaux i Stanleja. Przekonał on się dalej, ze cały prawie pas tych wybrzeży nowo-gwinejskich owarowują ławice koralowe, które przerywają jednak miejscami właściwe wszystkim rafom tego rodzaju głębokie kanały, otwierające największym nawet statkom swobodny przystęp do lądu. Same wybrzeża, w których wielokrotnie zarzucał kotwicę i zapuszczał się rzekami na łodziach po kilkanaście mil angielskich w głąb kraju, są w części niskie i bagniste, w większej części zaś górzyste i strome i mają wiele wygodnych i bezpiecznych przystani. Doliny, obficie nawodnione, okrywa niezmiernie bujna roślinność, podczas kiedy wynioślejsze wzgórza przypominają ubogą wegetacją swoją jałowe okolice środkowej Australji. Moresby spotykał w pierwszych drzewa dochodzące bajecznej wysokości 200 do 250 stóp. Gęsto powszędy rozsiane wsie, budowane sposobem malajskim na wysokich palach, leżą albo pośród spokojnych mielizn wybrzeżnych na rafach, albo na lądzie w cieniu palm sagowych, kokosów i drzew pomarańczowych, otoczone plantacjami kukurydzy, jams, taro, bananów i trzciny cukrowej. Plantacje te, okrywające w terasach niższe wzgórza aż do szczytu, znalazł Moresby tak troskliwie obrobione i dobrze nawodnione, że nie ustępowały w niczem słynnym pod tym względem ogrodom chińskim i świadczyły o pracowitości i zamiłowaniu w uprawie ziemi krajowców, którzy odznaczali się nadto wszystko jeszcze uprzejmem i przyjacielskiem obchodzeniem się z cudzoziemcami.

Podróż ta kapitana Moresby i misje angielskie zwróciły powszechną uwagę na południowo-wschodnią część Nowej Gwinei, która przed kilku laty jeszcze właśnie najmniej było znaną. Odbywając w r. 1873 podróż inspekcyjną, przekonał się Murray, że starania misjonarzy pożądane wydają skutki, i może już za lat kilkanaście nie będzie najmniejszego powodu do obawiania się dzikości tamtejszych Papuasów. W zatoce Redscar musiano wprawdzie zwinąć stację misyjną z powodu niezdrowego klimatu, ale na kilku mniejszych wyspach i w kilku osadach na lądzie samej Nowej Gwinei, wyrzekli się już mieszkańcy przynajmniej powierzchownie pogaństwa. Koloniści australscy, którzy od r. 1864 zajmują się na wysepkach drogi Torresa rozwijającym się na coraz większe rozmiary połowem pereł, zawiązują stosunki z mieszkańcami pobliskich wybrzeży nowogwinejskich. W Astralji wystąpiono już nawet z projektem założenia kolonji na tych wybrzeżach, któraby była stacją środkową na wielkiej drodze handlowej z Sidney do Singapore, ważną szczególnie dla statków, zajętych połowem trepangów na morzu Arafura. Wszystko to pozwala się spodziewać, że wiek nasz, który poświęcił tyle miljonów i tylu ludzi dla zbadania lodowatych pustyń oceanu arktycznego, tropikowych krain środkowej Afryki i słonych stepów Australji, w którym Anglicy i Amerykanie wdarli się na najwyższe szczyty Himalajów i Tian-Szan i wydali tysiące funtów szterlingów na przekopanie skalistej ziemi Palestyny, a Francuzi wydobyli z dziewiczych lasów Kambodży pomniki najstarożytniejszej kultury i każą im po wiekach zgrzybiałego spokoju odbywać podróż z Saigon do Compiégne,—że wiek nasz odsłoni i wnętrze Nowej Gwinei i zdobędzie tę wyspę, zamkniętą jeszcze zawsze dla reszty świata, a tyle pod każdym względem obiecującą, dla nauki, kolonizacji i cywilizacji europejskiej.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Sulamita, pieśni wschodnie, przez Bogumiła Aspisa, Warszawa 1874.

Poemat p. Aspisa należy do niepospolitych zjawisk w teraźniejszej literaturze poetycznej. Autor sięgnął

w epokę króla Salomona. Przedstawia on nam namiętnego tego starca w walce z dziewicą, Sulamitą, która kochając Jonatana, nie chce uczynić zadość woli króla i ginie w tej walce nierównej. P. Aspis odtworzył pieśni wschodnie, nigdzie ich zresztą nie naśladując, a odtworzył je takim językiem i z taką potęgą, że poemat jego stanął na równi z najcelniejszemi utworami muzy współczesnej. — Zakończenie nie jest wprawdzie tak potężne jak początek, ale tłumaczy się to tem, że autor „Sulamitę“ przed 18 laty rozpoczął a dopiero teraz ją ukończył; w tak długim przeciągu czasu siła poetyczna zawsze słabnieje. Jako całość, „Sulamita“ nie jest liryką, ale tragedją w lirycznej formie wypowiedzianą.

— Przysłowia polskie odnoszące się do nazwisk szlacheckich i miejscowości, opisał i objaśnił Aleksander Weryha Darowski. Poznań. Nakładem księgarni I. K. Żupańskiego 1874.

Autor niniejszego dzieła, zmarły w roku bieżącym, wziął sobie za cel główny, zebranie przysłowiów polskich przywiązanych do nazwisk szlacheckich i miejscowości. Sam tytuł zbioru wykazuje, że Weryha Darowski dobrze pojmował wysokie znaczenie i wartość przysłowiów narodowych, własną pracę bowiem nazwał w przedmowie dzieła jednym rozdziałem do przyszłej księgi przysłowiów, a właśnie brak nam takiej księgi. W dzicle tem podajeła autor najprzód: przysłowia odnoszące się do nazwisk szlacheckich, alfabetycznie, każde starając się objaśnić dokładnie; lubo tej zasady nie trzymał się wszędzie, odsyłając nieraz do pism czasowych, w których pisał o nich a które obecnie do rzadkości bibljograficznych należą. Dobrze nieraz prostuje i sumiennie dawniej źle lub fałszywie przytoczone przysłowie. Rzecz godna uwagi, że autor z jednej strony przysłowia, które zapisał w swym zbiorze, objaśnia podaniami ustnemi, z drugiej strony, wprost odrzuca dawniejsze tradycje, które przez trzy wieki blizko za ich źródła były podawane. Pomimo tych usterek książka ta dla każdego badacza przeszłości jest drogocennym nabytkiem, mającym wiele zalet i rzeczywistej wartości.

— Ustawa gminna z d. 12. sierpnia r. 1866. Lwów, nakład Karola Wilda, 1874.

Niestrudzony wydawca lwowski, p. Karol Wild, postanowił wydać wszystkie ustawy krajowe obowiązujące w Galicji. Dziełko powyższe jest pierwszem w tym zbiorze. Dr. Paweł Skwarczyński uzupełnił Ustawę gminną innemi w związku z nią będącemi ustawami obowiązującemi i przytoczył zmiany, które zaszły aż po Sierpień r. 1874. Książka ta jest niezbędną dla każdego przełożonego obszaru dworskiego, jak nie mniej dla członków władz autonomicznych.

— Zoologja K. B. Hellera, przekład Leopolda Weigla, Wiedeń, 1875.

Książka powyższa, przeznaczona dla szkół wydziałowych i wyższych ludowych, wyszczególnia się bardzo treściwym wykładem. Ozdobiona 127 dobrze odbitemi drzeworytami, przyczynia się w wielkiej mierze do zapamiętania tego tak zajmującego przedmiotu. Tłumacz wywiązał się ze swego zadania bardzo dobrze — gdyż język jego jest wszędzie treściwy, jasny i poprawny. Przekładu dokonał według wydania trzeciego.

— O cenzurze Klaudjusza Apjusza ślepego. Kraków, r. 1874.

Powyższa dyssertacja napisana przez p. Bronisława Kruczkiewicza celem uzyskania stopnia doktora filozofiji uniwersytetu krakowskiego, została ogłoszona w sprawozdaniu z r. 1873|4 przcz dyrektora gimnazjum Ś. Anny w Krakowie. Zasłużyła ona sobie na sąd nader pochlebny krakowskiego wydziału filozoficznego, jako pismo co do treści i formy mające rzeczywistą wartość naukową.

— Karol Linneusz przez Wawrzyńca hr. Engeströma. Życiorys z portretem. Warszawa, nakładem redakcji Kroniki rodzinnej, 1874.

— Niemiecko polski słownik wyrazów prawniczych i administracyjnych. Nakładem i staraniem Akademji Umiejętności. Wydanie II. Kraków 1874.

Dr. Aleksander Bojarski i dr. Wiktor Kopf wzbogacili znacznie to wydanie.

— Gramatyka sanskrytu porównanego z językiem starosławiańskim i polskim na podstawie gramatyki sanskryckiej Franciszka Boppa przez ks. Fr. Malinowskiego. Zeszyt III. Poznań 1874.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— W Krakowie zacznie wychodzić nakładem księgerni A. Otremby, *Przegląd krytyczny*, redagowany przez profesorów uniwersytetów krakowskiego i lwowskiego. Nowe to pismo, jako fachowe, będzie podawało krytyczne rozbiory dzieł polskich, jak nie mniej tych, które się do Polski odnoszą. Tego rodzaju publikacja może zbawiennie wpłynąć na naszych autorów.

— Komitet do zakupna „Unji“ Batorego wybrał z swego grona komitet ściślejszy złożony z panów: Ludwika Skrzyńskiego, kanonik a Mossinga, Wierzbickiego, dr. Tarnawieckiego i dr. Zbyszewskiego. Ściślejszy ten komitet ułoży plan dalszego działania. Subskrypcja, rozpoczęta podczas wyboru komitetu, przyniosła zaraz 800 guldenów.

— Uroczystość doroczna otwarcia Zakładu narodowego imienia Ossolińskich, odbyła się d. 12. bm. Publiczności było bordzo mało. Nowy skryptor dr. Stanisław Smolka odczytał sprawozdanie, z któregośmy się dowiedzieli, że sporządzono katalog darowanej zakładowi bibljoteki przeworskiej, tudzież że zawiązano stosunki z biblioteką warszawską i Akademją nauk w Krakowie. Liczba dzieł, unikatów, dosięga 67.000. Kustosz zakładu, dr. Wł. Wisłocki przeniósł się do Krakowa, gdzie otrzymał korzystniejszą posadę przy bibljotece Jagiellońskiej, a miejsce jego zajął Dr. Wojciech Kętrzyński. Pan Bielowski uwiadomił także zgromadzonych o mającym wyjść pamiętniku St. Jabłonowskiego.

— Nowy utwor Wiktora Hugo, p. t. *Mes fils*, (Moi synowie) pojawi się temi dniami w księgarni Michała Lévy, w Paryżu. Poeta stawia tą pracą pomnik swoim dwom synom, Karolowi i Franciszkowi-Wiktorowi, którzy niedawno umarli.

— Szekspira „Otello“ został przetłumaczony na język hebrejski.

— Berlińska Akademja sztuk pięknych ogłosiła następujący nadzwyczajny konkurs w dziale malarstwa historycznego. Każdy współubiegający się artysta ma nadesłać: 1. Umyślnie na konkurs przeznaczony przez siebie samego obmyślany obraz historyczny; przedmiot zostawia się jego własnemu wyborowi. 2. Olejny szkic przedstawiający wedle XII ks. Odyssei Odysseusza gdy przywiązany do masztu przysłuchuje się spiewowi Syren. 3. Studja do tego. 4. Curriculum vitae, z któregoby przebieg studjów artysty poznać można było. — Przytem ma artysta wykazać się dowodomi, że: *a*) jest Prusakiem (!) i że akademickim regulaminem przepisane studja odbył w jednej z pruskich Akademji lub też w Städlowskim Instytucie w Frankfurcie nad Menem, *b*) że nie przeszedł jeszcze lat trzydziestu wieku, *c*) i wreszcie pismiennie z zaofiarowaniem przysięgi zaręczyć, za nadesłane prace zupełnie przez niego samego, bez najmniejszej obcej pomocy dokonanemi zostały. Termin zamknięcia konkursu wyznaczony na 1. grudnia b. r. Rozdanie nagród nastąpi dnia 20. grudnia b. r. Nagrodę stanowi stypendjum na podróż artystyczną do Włoch na dwa następujące po sobie lata, w sumie tysiąca talarów rocznie. Ten osobliwy konkurs zostawiamy bez komentarza. Znajdzie on godne miejsce obok „Dichtertagu“ poetów!

— Gabinet archeologiczny Uniwers. Jagiellońskiego dostał w darze od pp. B. Żebrowskiego i A. Potrykowskiego kolczugę, oraz monety i zabytki bronzowe z Podola. Dowiaduje się przy tem „Czas“, że gabinet otrzyma niebawem witryny, gabloty, pułki, odpowiednie do wartości zabytków w nim zgromadzonych.

— Panna Reszke, Warszawianka, występowała w Wenecji z wielkiem powodzeniem w operach: „Robert Djabeł“ i „Faust“. Chlubnie to świadczy o jej talencie, ponieważ Włosi z pewnem uprzedzeniem przyjmują zagranicznych artystów. Obcy talent z trudnością dobija się tam uznania.

— Wkrótce już pojawią się w Monachjum, w zakładzie Brückmana, kartonowe kopje artystycznej spuścizny Kaulbacha. Między szkicami są najważniejsze te, które się odnoszą do „Pstopu“. Rysunków jest siedm, olbrzymich rozmiarów, z których każdy przedstawia jakąś chwilę z olbrzymiej tej tragedji.

— W Teatrze paryskim, Variétés, przedstawiono z wielkiem powodzeuiem nową farsę pp. Delacour i Lecrey, pt: „Mormony w Paryżu“ Na scenie pojawia się wiarołomny Mormon, Francuz z pochodzenia i adwokat z zawodu, który porzuciwszy swój harem nad Słonem jeziorem, wraca do Paryża aby się tu ożenić. Dwie porzucone piękności pędzą za nim do Paryża, i zastają go w Grand-Hotel w chwili, gdy się jego wesele odbywa. Rozpoczyna się dopiero polowanie, dające sposobność do przebrań i komicznych qui pro quo. Żart jest bardzo dobrze przeprowadzony, co tej sztuce zapewnia powodzenie.

— W Odessie stanie nowa Opera, w której ma się pomieścić 2000 widzów. Koszta budynku obliczono na 800.000 rubli. Wezwano wszystkich architektów europejskiej sławy, ażeby przysłali na konkurs plany, i to najpóźniej do 1go stycznia r. 1875. Pierwsza nagroda za plan najlepszy wynosi 6000 druga 2000 rubli. Gdyby się okazała potrzeba planów szczegółowych, komisja konkursowa wypłaci dalszych 6000 rs. Dotychczas przysłano 160 planów, między niemi znajduje się także plan pana Garnier, który wybudował nową Operę paryską.

Podróże, odkrycia, wynalazki i komunikacje.

— Członkowie austrjackiej wyprawy biegunowej, postanowili wydać dwa dzieła. Pierwsze, ściśle naukowe, będzie zawierało wszystkie zdobycze, drugie zaś, popularnie napisane, zapozna czytelników z przygodami podróżników. Pisać będą wspólnie: Weyprecht, Payer, Brosch, Oreł i Dr. Kepes.

— Angielski kapitan Wiggans wrócił d. 25. września na parowym okręcie „Diana“ do Dundee. Kapitan udał się był w kierunku bieguna północnego, aby podróżnikom austrjackim, o których wtedy nic słychać nie było, przyjść w pomoc; celu tego jak wiadomo nie osiągnął, ale za to przekonał się, że „Biała wyspa“ jest na mapach o 60 mil dalej oznaczona niż się rzecz ma w istocie. Wyprawa jego była całkiem prywatna.

— Amerykanin, H. Stanley, który jak wiadomo najwięcej się zasłużył około wyszukania sławnego podróżnika, Livingstona, bawi obecnie w Paryżu, a nie w Afryce, jak to dzienniki mylnie doniosły, zkąd na czele ekspedycji, liczącej 800 ludzi wyruszy w głąb' Afryki. Taki zastęp równać się będzie w Afryce całej armji, której nie oprze się już żadne plemię. Największe atoli trudności będą z wyżywieniem.

— Ostatniemi czasy znaleziono w Rzymie bardzo wiele rzeźb, odnoszących się do kultu Jowisza Dolichenusa, boga wojny, który po dziś dzień był znany tylko z napisów. W willi Palombaro znaleziono także głowę Wenery i Merkurego, a w Pompei posąg kobiety ze szczerego srebra, wielkości naturalnej, który waży 58 funtów. Jest to pierwszy posąg z tego kruszcu odszukany wśród gruzów pompejańskich.

— Roboty około kolei nadwiślańskiej już rozpoczęto, mianowicie o wiorst 5 od Warszawy w pobliżu linji terespolskiej i w okolicach twierdzy Demblina.

Szkolnictwo.

— W Królestwie jest 6 szkół handlowych. Jedna w Warszawie lieząca 500 uczniów, a 5 na prowincji, do których uczęszcza 1036 uczniow.

— Niejaki F. H. Rodewald, zaczął wydawać „Universelle Schulzeitung.“ Pismo to jest przeznaczone dla całego świata nauczycielskiego, aby go pouczyć o stosunkach nauczycielskich we wszystkich krajach cywilizowanych.

Nekrologja.

— W Warszawie w dniu 9. b. m. umarł Zygmunt Wojcicki, syn znanego w literaturze naszej Kazimierza Władysława. Zmarły należał do założycieli „Kłosów“ i był ich współredaktorem. Żył lat 40.

— W Pradze czeskiej umarł d. 8. bm. Wicesław Halek najcelniejszy z dzisiejszych autorów czeskich. Publiczność polska miała sposobność poznać jego talent z przekładów pp. Bełzy i Ordona. Ostatniem jego dziełem była wiązanka utworów pt. „W przyrodzie“. Jako dramaturg i nowelista położył on największe zasługi. Co do charakteru politycznego nieboszczyk należał do partji młodoczeskiej, w której wybitne zajmował stanowisko. Liczył on tylko 39 lat.

— Teodor Hildebrandt, słynny malarz niemiecki, umarł d. 29. zm. w Düsseldorfie. Znany on by głównie jako portrecista, chociaż i historyczny jego obraz „Synowie Edwarda“ — zjednał mu sławę europejską.

ROZMAITOŚCI.

— Popioły jenerała Bema mają być przewiezione z Aleppo do Węgier, i w tym celu, jak zawiadomiono na ostatniem posiedzeniu Towarzystwa honwedów, poczyniono już ostateczne kroki w ministerjum spraw zewnętrznych. Zwłoki Bema mają być przywiezione do kraju Szeklerów. Na pomnik dla Bema, który ma stanąć w Maros-Vasarhely, zebrano już 11.570 zł. Czy nie wypadałoby upomnieć się nam o te zwłoki jednego z największych uaszych wodzów?

— Zwyczaje japońskie są często nadzwyczaj komiczne, szczególnie ich obrzędy buddyjskie; wiadomo że większą część ludności japońskiej wyznawcy Buddy stanowią. I tak naprzykład nabożny Japończyk wchodząc do świątyni, klaszcze po trzykroć w ręce, ażeby swoje przybycie bóstwu oznajmić. Pokuta niezbyt ostra przejmuje wiernych pogardą dla kapłana. Ale zaiste najosobliwszą już pod tym względem rzeczą, jest następujące postępowanie Japończyków, jeżeli pragną mieć znak czy modły ich zostały wysłuchane, czy nie. Żują papier i wypluwają go na posąg bożka. Jeżeli się przylepi — prośba wysłuchana, — gdy odpadnie, marne błaganie. Poświęcane wianki, rożańce, obrazki, nieodłącznemi są towarzyszami każdego buddysty. Dosyć pospolitym jednakże i w Europie obyczajem, tuż obok kościoła mieszczą się herbaciarnie i inne miejsca dobrą sławą się niezalecające. Młodzi Japończycy mają zawsze na przodzie wycięty kosmyk włosów. Zagadkowa ta okoliczność tak się tłumaczy: Zwyczajem jest, że skoro tylko młodzieniec dojdzie lat 15tu, ojciec chrzestny wystrzyga mu kosmyk włosów na przodzie i nadaje nowe imię. Kosmyk ów ze czcią zachowuje się i w danej chwili składa się wraz z umarłym do trumny. Palenie ciał na porządku dziennym. Szczególniej zwolennicy sekty Monto inaczej grzebać się nie pozwalają. Bogatych składają w postaci siedzącej w czworokątną trumnę, napełnioną cynobrem. Umarłemu nadaje się nowe imię, i pod niem umieszcza się go w spisie błogosławionych. Żywi rozumieją się doskonale na komforcie, sprytnem prowadzeniu interesów i używaniu chwil radośnych. Zadziwiającem jest istotnie wykwintne umeblowanie jadalń, sypialń i gabinetów do pracy — u Japończyków. Budoary damskie szczególniej celują pod tym względem. Muzyka ich jest nadzwyczaj osobliwą. Dla ciekawych zapisujemy tutaj, że baron Henryk Siebold z Wiednia, wydał zbiór japońskich melodji, które, co prawda, niezbyt są melodyjne, ale za to prawdziwą oryginalnością się odznaczają.

— Rozmaite choroby pojawiają się między ludźmi, wszelako ta, którą opowiedzieć zamierzamy, należy pewnie do najrzadszych. Niejaki Lenoir, Francuz, był w r. 1868 nauczycielem w jednym z największych zakładów naukowych w Paryżu. Pewnego dnia stanął przed komisarzem swojej dzielnicy, a położywszy przed nim nóż długi, rzekł: „Proszę pana, każ mnie uwięzić, ponieważ ilekroć przypatruję się chłopcom spiącym w pensjonacie, taka mnie opanowuje chęć zabicia z nich przynajmniej jednego, że tylko z największą trudnością mogę ją powstrzymać.“ Po tem przemówieniu komisarz policji kazał Lenoira opatrzeć lekarzom i odwiózł go do szpitala św. Anny. Po kilku miesiącach lekarze uznali, że pacjent jest całkiem zdrów; wrócił on na dawną swoją posadę. Gdy Traupmanna gilotynowali, Lenoir był tuż przy rusztowaniu, a kiedy krew zobaczył, rzucił się tak gwałtownie naprzód, chcąc w niej ręce umoczyć, że sierżantom miejskim zaledwie się udało powstrzymać go w pół drogi. W kilka tygodni zjawił się ponownie w biurze komisarza, wyznając, że tego dnia omało swojej kochanki nie zabił. Znowu go powierzono opiece lekarskiej. Po roku wyszedł drugi raz, a dwa miesiące temu stanął po raz trzeci przed komisarzem, mówiąc: „Od kilku dni chodzę z rewolwerem w kieszeni, aby kogo zastrzelić, nie mogę atoli ponieważ jestem tchórzem. Nie prawdaż doktorze — rzekł do stojącego obok lekarza — że jestem ciekawem stworzeniem? Po mojej śmierci z przyjemnością będziesz się przypatrywał zwojom mego mózgu. Ach! — dodał po chwili — jak szczęśliwi są ci lekarze, że co dzień mogą krew widzieć!“ — Obecnie siedzi Lenoir po raz trzeci w szpitalu, a lekarze uznali, że nie należy on do warjatów, tylko do monomanów, dla których nie ma lekarstwa.

— Pojedynek staje się coraz niebezpieczniejszą igraszką, nietylko z powodu swoich konsekwencji naturalnych, ale przedewszystkiem z przyczyny rygorów sądowych. Swieżo dopiero trybunał brukselski skazał zwycięzcę w pojedynku, zakończonym śmiercią jednego z adwersarzy, na dwa lata więzienia i trzy tysiące fr. kary; trzech ze świadków na trzy miesiące więzienia i 400 fr. kary, czwartego zaś na tę samą opłatę ale na 4 miesiące więzienia.

— W Pittburgu, w Ameryce północnej, w końcu zeszłego miesiąca miał miejsce straszny wylew wody, z potopowego deszczu powstały, wśród którego 200 osób w domach własnych śmierć znalazło. Zdawało się jakoby upusty niebieskie na ścież się rozwarły. Smiertelny krzyk mnóstwa ofiar z tuzina zalanych miejscowości wznosił się ku niebu. Szczególniej ucierpiało miasteczko Butcherss Run. Rzeka płynąca pod niem zamieniła się w prawdziwe morze, o najmniejszej głębokości 25 stóp. Domy z fundamentów porwane z trzaskiem uderzały o siebie i waliły się, druzgocąc mieszkańców swoich. Na znacznem wzniesieniu mieszkający świadek tego zdarzenia ze zgrozą je opisuje. Ulewa zaciemniała powietrze. Od chwili do chwili mrok ten przeszywała błyskawica i odsłaniała na chwilę oszpecone trwogą śmierci twarze płynące po zalanych ulicach i wyglądające z okien przez które woda wewnątrz się wlewała. Grzmot nieustanny huczał, a jednak dzikich wrzasków rozpaczy i błagania o pomoc, nie mógł zagłuszyć. O świcie dopiero można było ocenić okropność tej klęski. Dwa dni trwało samo grzebanie umarłych.

— Na przylądku Dobrej Nadziei znajdują się niezmiernie bogate kopalnie djamentów. Dawniej należały one do posiadłości Wolnych Stanów rzeki Oranże: w końcu jednak przypomnieli sobie Anglicy, że pewien stary naczelnik Kafrów pomiędzy innemi i te obszary im ustąpił, i zajęli je w posiadanie, nie zważając na protesty osadników holenderskich, ani na propozycję ich odwołania się w tym sporze do cesarza niemieckiego. Dzisiaj już kopalnie te przepełnione są tłumem robotników, spekulantów i trutniów przemysłowych. Obliczają ilość osadników w jednej tylko miejscowości a mianowicie w New-Rush na 40.000. Hotele przepełnione gośćmi i szalenie drogie. Większa część mieszkań składa się z namiotów, pod gołem niebem. Okolice te bowiem są całkiem bezleśne. Budują wprawdzie już obecnie magazyny i małe domki z drzewa, ale z niezmiernym kosztem. Jodłowa deska kosztuje z powodu oddalonego i uciążliwego transportu 20 frank., belka czasami do 80 fr. Płaca robotników nadzwyczajnie wysoka. Człowieka, nazywającego się cieślą, dla tego tylko że gwóźdź wbić w drzewo potrafi, nie podobna mieć taniej dziennie, jak za 25 fr. Działy w kopalniach dochodzą także do cen przerażających: pół działu, 31 stóp długości a 15 szerok., już rozkopanego na 15 metrów w głąb, kosztowało 100.000 fr. A jednak wśród tych bogactw mała część tylko żyje świetnie i wystawnie, w olśniewającym zbytku; większość zaś znajduje się w ostatniej nędzy. Bogactwem tych ostatnich nadzieja. Kto zasypia Jobem — Rotszyldem nieraz się budzi. Niedawno pewien Irlandczyk zaraz w pierwszych godzinach swojej pracy znalazł djament wartości 75.000 fr., drugi znalazł kamień drogi wagi 115 karatów w szachcie, który poprzedniego właściciela już niezmiernie zbogacił.

— Szczególny ślub odbył się w Brukselli, w kościele św. Guduli. Panna młoda była młoda, piękna, elegancka, ale niestety nie miała rąk. Ksiądz włożył jej pierścionek na drugi palec u lewej nogi, z której trzewiczek zdjęto. Kontrakt ślubny podpisała także nogą. Panna młoda, nie jest osobą wymyśloną, ale rzeczywistą córką burmistrza z Gandawy i nazywa się Van Brook. Na świat przyszła bez rąk, ale od dzieciństwa uczyła się używać nóg, któremi pisze, szyje, haftuje. Los dał jej za to zachwycającą piękność, bogactwo, głos prześliczny i serce zacne. Mąż jej jest ubogim artystą, za którego wyszła z prawdziwej miłości.

— Czyżby wawrzyny bandytów greckich i sycylijskich odbierały sen rozbójnikom amerykańskim? Porywanie podróżników i dzieci w celu wymożenia na ich rodzinach bogatego okupu coraz bardziej wchodzi na porządek dzienny w Stanach Zjednoczonych. W okolicach Filadelfji porwano kilkoro dzieci i ogłoszono w dziennikach, że tylko za okupem w gotówce oddanemi będą. Wiele osób popadło w ruinę, ratując drogie sobie istoty. Tymczasem policja, pomimo niezmiernej ilości ajentów swoich, nie zdołała dotychczas pochwycić ani jednego z tych zręcznych myśliwców. I nic w tem dziwnego. Złośliwe języki bowiem, opierając się na znanych obyczajach policji amerykańskiej, pomawiają ją bez ogródki o współkę z brygantami.

— Używanie opium powiększa się w przerażającej proporcji w Stanach Zjednoczonych i usuwa nawet wódkę i tytoń. Wedle „American Register“ cyfra przywozu tej trucizny, obecnie wykazana przez urzędy cłowe amerykańskie, wynosi 2.500 centnarów; jest więc dziesięć razy wyższą niż przed sześcioma laty. Aptekarze zaś i doktorzy przekonywają, że w celach leczniczych ledwo czwarta część tego przywozu się zużywa.

— Przed sadem przysięgłych paryskim, stał w ostatnich dniach pod zarzutem fałszerstwa człowiek, który w ostatnich czasach odgrywał we Francji znaczną i ruchliwą rolę. Był to Troncin du Mersan, doktor, dziennikarz, dyrektor Bouffes parisiens, eks-prefekt Compiégne, za cesarstwa w 1864 roku jeden z sekretarzy ministerjalnych; po 4. października przez Gambettę użyty w ministerjum spraw wewnętrznych; po wojnie zaangażowany przez Thiersa i przyjęty do jego boku, kawaler legji honorowej, portugalskich i hiszpańskich orderów. Po upadku Thiersa znalazły się poszlaki nieuczciwości Troncina. Odkryto, że sfałszował podpis Lefebur'a, sekretarza ministerjum finansów pod kwitem na 25.000 fr. W ślad za tem wystąpiła własna żona jego z oskarżaniem o dwukrotne sfałszowanie jej podpisu. Wnet i zkądinąd posypały się skargi. Koniec końców 28 fałszerstw mu dowiedziono. Skazanym został na pięć lat więzienia i 100 fr. kary.

— Członek angielskiego klubu alpejskiego, p. Marschall, którego w Szwajcarji znano oddawna jako jednego z najdoważniejszych turystów, wyruszył dnia 30. sierpnia z Courmayeur, aby od strony południowej dostać się na szczyt Mont Blanc, co mu się dotąd niejednokrotnie udawało. Towarzyszyli mu znakomici dwaj przewodnicy: Jan Fischer i Krystjan Almer. W nocy biwakowali na lodowcu, na wysokości 12.000 stóp. Nazajutrz rano, w poniedziałek 31. sierpnia, zerwała się burza tak gwałtowna, że o dalszym pochodzie mowy być nie mogło. Postanowili tedy wrócić. Nad wieczorem przechodzili właśnie ostatni lodowiec, gdy w tem, nie widząc z powodu ciemności nic pod nogami, padają wszyscy trzej razem, gdyż byli sznurem z sobą związani, w okropną przepaść. Anglik i Fischer zabili sią na miejscu. Almerowi, po pokonaniu niesłychanych trudności, powiodło się nazajutrz wyjść z tej otchłani. Nieszczęście spowodowała tylko zuchwałość podróżników, którzy nie zważali na pierwszą zasadę podróżników, zwiedzających Mont Blanc, że w nocy, przy najspokojniejszem nawet powietrzu, nie powinno się iść przez lodowce, lecz należy przenocować, choćby zimno było największe.

Odpowiedzi Redakcji.

St. A. R. w Krakowie. Bardzo prosimy. Praca tego rodzaju może być zajmującą i pożyteczną.

Pafnucemu w Nowym Sączu. Powieści coraz mniej pojawia się w naszej literaturze. Pisarze zwracają baczniejszą uwagę na naukę. Mimo to będziemy obszerniej pisali i o powieściach — ale tylko o najcelniejszych, bo o wszystkich nie sposób.

W... w Poznaniu. Bardzo nam przykro, ale obie te rzeczy były nam znane natychmiast po wyjściu. Dowodem na to dzisiejszy numer „Tygodnia“... Prosimy atoli nie zapominać o nas.

W... E... w Krakowie. Nie od dziś podzielamy w tej sprawie pańskie zdanie, o czem wkrótce będzie się można przekonać... nie od dziś nosiliśmy się z myślą wyświecenia fałszywego poglądu...

Panu M... w Krakowie. Na warunki przystajemy. Prosimy o przysłanie manuskryptu pod adresem redaktora naszego pisma.

Wszystkich pp. Autorów i nakładców, którzy życzą sobie, by o dziełach przez nich wydawanych, były umieszczane recenzje w naszem piśmie, upraszamy o przysyłanie nowości wprost do Redakcji.

Treść Nr. 5.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego), pod zarządem Leona Zubalewicza.